Tygodnik Illustrowany

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO"
W WARSZAWIE i z przesyłką pocztową: kwartalnie Mk. 120.
ZA GRANICĄ: Kwartalnie Mk. 240.
W AMERYCE: rocznie Dol. 8.50.

CENY OGŁOSZEŃ: wiersz nonp. na 1 str. okładki Mk. 6.—, na dalszych Mk. 4.—, na ostat. Mk. 4.50, w rub. „Nadesłane" Mk. 12.—, kolum. ogl. ilustr. Mk. 2500.—; margines. na stronie 1 okładki Mk. 75.—, na dalszych Mk. 40.—, na ostat. Mk. 50.— w rubryce „Nadesłane" 60.—.

WARSZAWA, ulica ZGODA Nr. 12 Telefon Nr. 414.
KRAKÓW, G. GEBETHNER & S-ka RYNEK 22
LWÓW, E. SOKOŁOWSKA, Jagiellońska 7.

№ 15. OGÓLNEGO ZBIORU № 3,152 10 KWIETNIA 1920 R.

Skład sukna i kortów **PAWEŁ DIPONT**
Specyalny dział materyałów wojskowych
dawniej HENRYK MEYLERT
dostawa dla armii
ul. Senatorska N-r. 11
telefon 48-79.

Zęby sztuczne
używane
od 1 Mk. do Mk. 35 sztuka
Platyna Mk. 300 gram
kupuje
JAKÓB BARON
Królewska 39 m. 11. Tel. 245-23

OFIARY:
Na Plebiscyt na Śląsku Cieszyńskim.
Ciborowski z Wyszkowa Mk. 10.—
Z rachunku z d. 19 lutego 1920 r Mk. 17.—
Na Flotę Polską.
Ciborowski z Wyszkowa Mk. 10.—

MASZYN DO PISANIA
Reparacye, Przeróbki, Konserwacye
Wykonywa pracownia b. długoletniego mechanika firmy G. GERLACH Witolda GARBIŃSKIEGO
CHMIELNA 56, m. 26. Tel. 280-46.

Dr. K. Dłuski
b. Dyrektor Sanatorynm w Zakopanem
przyjmuje stale od 11-ej do 2 ej
wyłącznie w chorobach płucnych.
ŻÓRAWIA 25.

SPRAWA POLSKA
w parlamencie węgierskim 1915—1918
Str. 120.
Książka, ta zawiera wszystkie mowy, wygłoszone w czasie wojny w Sejmie węgierskim. Okazuje się z niej, że politycy węgierscy z niezwykłą czynnością i wielkiem zrozumieniem śledzili rozwój sprawy polskiej w czasie wojny i korzystali z każdej nadarzającej się sposobności, by podnieść uwagę sprawy polskiej i zaznaczyć szczerą dążność Węgier do przyjaznych stosunków, ba, nawet do bliższego związku z idącą ku niezależnosci państwowej Polską. Wśród dwudziestu kilka mów przedstawicieli wszelkich stronnictw, wyróżniają się mowy hr. Andrássy'ego, hr. Batthyány'ego, Ugrona i Dobieczky'ego, nacechowane nietylko serdecznem uczuciem dla Polaków i zrozumieniem ich ciężkiego położenia w czasie wojny, ale i zdumiewającą jak na owe chwile, odwagą, z jaką mówcy potępiali gospodarkę okupacyjną w Królestwie i krzywdy wyrządzane Galicyi. Po za wszystkiem książka ta jest cennym przyczynkiem do historyi sprawy polskiej w czasie wojny światowej. Cena z dod. drożyźn. Mk. 9.60
Skład główny w księgarniach
GEBETHNERA i WOLFFA
Warszawa—Lublin—Łódź—Poznań
Kraków G. GEBETHNER i S-ka

FABRYKA WYROBÓW SZKLANYCH
I. Nowotny i St. Burghardt
w Warszawie, ul. Wspólna N-r.9, telef. 289-38
POLECA wszelkie przyrządy, naczynia i aparaty szklane dla celów technicznych, naukowych i labolato jun. szpitali, aptek i t. p. przedmioty i ozdoby artystycznie malowane i trawione: wszelką gal nterię szklaną: **śrubki do luster, flakoniki do perfum, soczewki gładkie i szlifowane, rurki wodowskazowe. upiększenia na choinkę (świcidełka)** i wogóle wszelkie przedmioty w zakres szklarstwa wchodzące.

Dr. F. ROSTKOWSKI
Lekarz asystent Szpit. Ś-go Łazarza
Chor. wener. skór. i anal, krwi na syfilis.
Od 5—8 w. Żelazna 84 m. 3. tel. 237-21.

LEKARZ-DENTYSTA
Michał Kozłowski
(z KIJOWA). Ordynuje od 12—2 i od 5—7
Al. Jerozolimskie 35 m. 3.

LEKARZ-DENTYSTA
Aleksander UJEJSKI
(z Char owa)
Leczenie chorób jamy ustnej, deformacyj i postrzałowych poranień szczęk.
Przyjmuje od 10—2 i od 4—6
w Zakładzie leczniczo-dentystycznym
MONIUSZKI 6.

BÓL GŁOWY i MIGRENĘ
momentalnie usuwa tylko CITRO-MIGREN
prowizora farm. Henr. Chodakowskiego
Żądać wszędzie!

Zakład Rentgenologiczny
Dr. H. Wachtel
ŻÓRAWIA Nr. 6, Tel. 302-22
Przyjmuje 6—7 wiecz.

ZE ZMARSZCZKAMI
piegami i złą cerą pan nie będzie!! Panie, chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, mieć naprawdę ładną cerę, pofatygują się od 11 do 5; pracujące panie— w niedziele 2—7-ej. Hoża 41—7
Paderewska-Gładych.

Ostatnie Wydawnictwa
GEBETHNERA i WOLFFA
!! Niezbędne dla P. P. Sędziów Śledczych, Prokuratorów i Lekarzy powiatowych i miejskich !!
Prof. Dr. LEON WACHHOLTZ
MEDYCYNA SĄDOWA
na podstawie ustaw obowiązujacych na ziemiach polskich
Z 22 rycinami w tekście i 42 rycinami na 8 tablicach. Wyd. drugie przejrzane i powiększone
Cena z dod. drożyźn. Mk. 64.80

WYDAWNICTWA
GEBETHNERA i WOLFFA
Tadeusz Czapczyński
Metodyczny rozbiór „PANA TADEUSZA"
w formie pytań
Cena Mk. 16.—
Marya Konopnicka
Linie i dźwięki
Wyd. nowe. Cena Mk. 15.—
Na Normandzkim brzegu
Wyd. nowe. Cena Mk. 15.—
Poezye w nowym układzie:
II. Helenica Cena Mk. 15.—
IV. Obrazki Cena Mk. 15.—
Adam Grzymała-Siedlecki
WYSPIAŃSKI
(Cechy i elementy jego twórczości)
Wyd. II-gie. Cena Mk. 24.—
Do cen powyższych dolicza się 20% dod. drożyźn.

BARDZO DUZO OSOB POLEPSZYŁO SWOJE ZDROWIE I TAKOWE UTRZYMUJE PRZEZ UŻYWANIE
PARYSKICH
PIGUŁEK PRZECZYSZCZAJĄCYCH
D-ra KOWENA
(Dr. CAUVIN)
Oczyszczają krew i regulują czynności kiszek
Zawsze przynoszą ulgę
Pigułki KOWENA
są do nabycia we wszystkich aptekach i w PARYŻU, Fg. Sr. Denis 147.
Ostrzega się przed naśladownictwem

Ostatnie Wydawnictwa
GEBETHNERA i WOLFFA
!! Niezbędne dla Komisyi poborowych, oraz p. p. Lekarzy Wojskowych, powiatowych i miejskich !!
Prof. Dr. LEON WACHHOLTZ i Prof. Dr. STAN. CIECHANOWSKI
TECHNIKA SEKCYI ZWŁOK
Protokół sekcyi i orzeczenie
z 30 PRZYKŁADAMI i 3 RYCINAMI
Cena wraz z dod. drożyźn. Mk. 30.—
Prof. Dr. KAZIMIERZ NOISZEWSKI
PODRĘCZNIK
DO BADANIA OSTROŚCI WZROKU
Z 9 rysunkami w tekście
Cena wraz z dod. drożyźn. Mk. 6.60
TABLICE
DO BADANIA OSTROŚCI WZROKU
Cena wraz z dod. drożyźn. Mk. 12.—
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Salon plekoracyjny „Artés" WARSZAWA Nowo-Senatorska 4.

Wyszedł z druku № 1 miesięcznika
„STRAŻ NAD WISŁĄ"
wydawanego przez Wydział Kulturalno-Oświatowy Dowództwa Frontu Pomorskiego, pod redakcją Marjana DIENSTL-DĄBROWY i Edwarda LIGOCKIEGO.
Cena № 6 Mk. p. r.
TORUŃ, Żeglarska 8.

Cena numeru pojedyńczego Mk. 10.—

Przy braku paliwa i drożyźnie jego PIECYKA-KUCHENKI staje się dobrodziejstwem. Zastosować się daje do każdej kuchni, każdego pieca, komina lub lufty
Wynalazek opatentowanego „Termax" gdyż oszczędza 75% paliwa
Skład główny 1-WO KOMISPOL WARSZAWA Krakowskie Przedmieście 16/18 TELEFONY: 28-74, 270-04, 270-05.

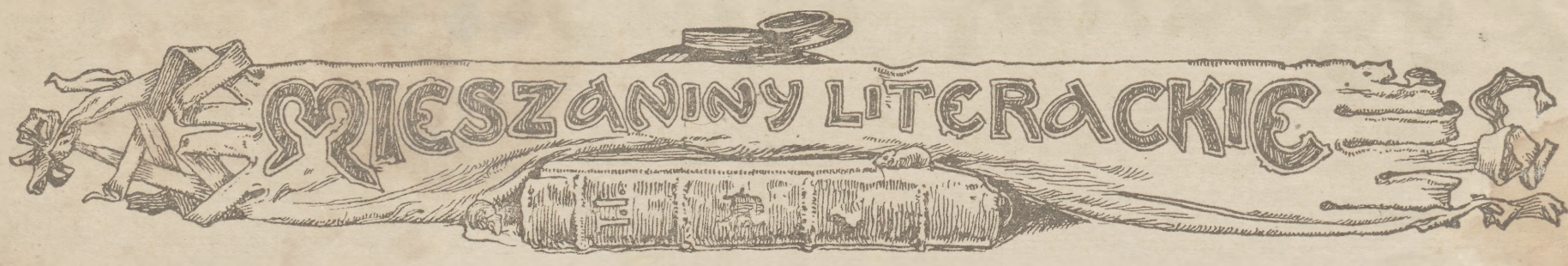

DZIEŁA BALZAKA.

II.

Uroda i powodzenie u kobiet nadają Lucyanowi podobieństwo z Rastignac'iem i z „Bel-Ami" Maupassant'a, ale podczas gdy tamci z całym cynizmem robią karyerę życiową przez kobiety, bo mają silną, wytężoną wolę zrobienia tej karyery, Lucyan, pozbawiony zresztą także wyższych kryteryów moralnych, ginie, bo jest słaby i bezwolny. Dlatego pierwsi wzbudzają raczej grozę i obawę, on zaś — mimo wszystko — pobłażliwą, ale nieco ekceważącą sympatyę.

„Stracone złudzenia" należą do najlepiej skomponowanych powieści Balzaca, ale wszystkie trzy są zajmujące, jeżeli się w nie wczytać, przezwyciężając cierpliwie rozwlekłości, genealogie, odbiegania od przedmiotu. Boy słusznie charakteryzuje stosunek czytelnika do wielkiego pisarza; kto w nim raz zasmakował, ten do niego nieustannie powraca, odnajdując coraz nowe świetne szczegóły i oryentując się w tym istnym gąszczu postaci. A kto czytał Balzaca po francusku, a obecnie odczytuje w tłómaczeniu Boya, nie tylko zachwyca się ścisłością, ale czuje się szczęśliwym w imieniu wszystkich tych, którzy mogą zachwycić się jego dziełami, a którym dotąd był dostęp do nich zamknięty z powodu braku znajomości języka oryginału.

* * *

Epizodyczne osoby z wymienionych wyżej powieści, Nathan i d'Arthez ze „Straconych złudzeń", oraz nieuczciwy subjekt-złodziej, następnie wielki bankier du Tillet z Cezara Birotteau", zwłaszcza dwaj pierwsi, odgrywają rolę główną w „Córce Evy" i „Sekretach księżnej Cadignan", połączonych w tomie 47-ym „Biblioteki" Boya *). Jest to zresztą zjawisko typowe dla większości utworów Balzaca.

Nathan i d'Arthez są jakby dwoma obliczami natury samego pisarza. Są to, każdy w swoim rodzaju, „dwaj wielcy ludzie — jeden fałszywy, drugi prawdziwy". Ażeby to zrozumieć, trzeba pamiętać, że Balzac, przy całym swoim geniuszu pisarskim, posiadał pewną dozę tego, co my dziś nazywamy „snobizmem", że nadmiernie pociągał go wielki świat Restauracyi, jego „wszystkie blaski, pokusy i wpływy", przeciwko czemu buntowała się przenikliwość i zmysł krytyczny, stanowiące wraz z subtelną analizą psychiczną podstawy jego twórczości. To też „w intencyach autora Natan, ze swoim fałszywym i krótkotrwałym blaskiem, jest przeciwieństwem wytrwałego i świadomego siebie geniuszu Balzaca, d'Arthez zaś jego — może nieco chłodnem, jak zwykle u „dodatnich" typów Balzaca—urzeczywistnieniem. Ale w zewnętrzne koleje Natana wchodzi bardzo dużo z przejść samego autora, który przez całe życie tańczył pomiędzy kaprysami zbytku a grozą pozwów i kornika, i który, w gorączce zdobycia „silnej pozycyi", niejednokrotnie próbował rzucać się to w teatr, to w politykę, to wreszcie w awanturnicze przedsięwzięcia, które nieodmiennie kończyły się katastrofą".

Na zakończenie tych uwag pragniemy przytoczyć z tej samej przedmowy bardzo trafną charakterystykę Balzaca w stosunku do rodzaju jego czytelników:

„Balzac jest dziś lekturą, w której smakują raczej mężczyźni. Inaczej rzecz miała się w epoce, w której wielki pisarz żył i działał. Nazwisko Balzaca dla współczesnych było przedewszystkiem mianem spowiednika serc i dusz kobiecych, człowieka, który znowuż, jak nikt przed nim, zrozumiał i zanalizował kobietę... Każdy nowy romans Balzaca budził echo w rzeczypospolitej kobiecej daleko poza granicami Francyi; ...z całej Europy szły doń poufne listy, prośby o radę, zwierzenia, poza któremi kryły się nieraz aspiracye tkliwszej i bardziej osobistej natury. Dziś jeszcze, dla znacznej części publiczności, obeznanej jedynie ze słuchu z jego dziełami, Balzac jest przedewszystkiem autorem „Kobiety Trzydziestoletniej", jednego... z jego najlichszych romansów".

Wreszcie słuszna zachęta do czytania omawianego pisarza: „dzieło Balzaca trzeba brać, jako całość; im bardziej czytelnik się w nie zagłębi, tem więcej znajdzie w niem zadowolenia, które hojnie opłaci poniesione trudy.

*) Kraków, 1919. Księgarnia J. Czerieckiego. Str. 243 w dużej 8-ce.

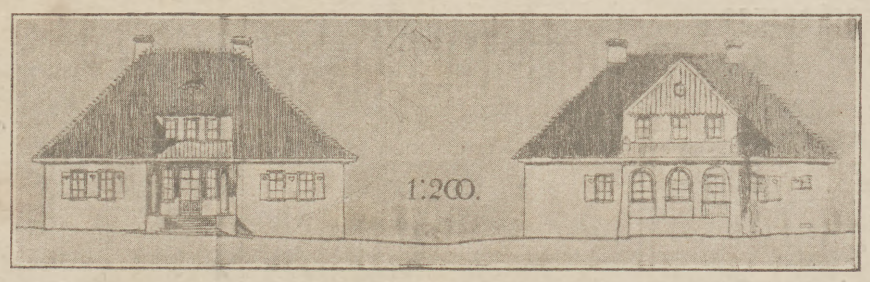

Kolonia lecznicza w Busku. Budynek obserwacyjny.

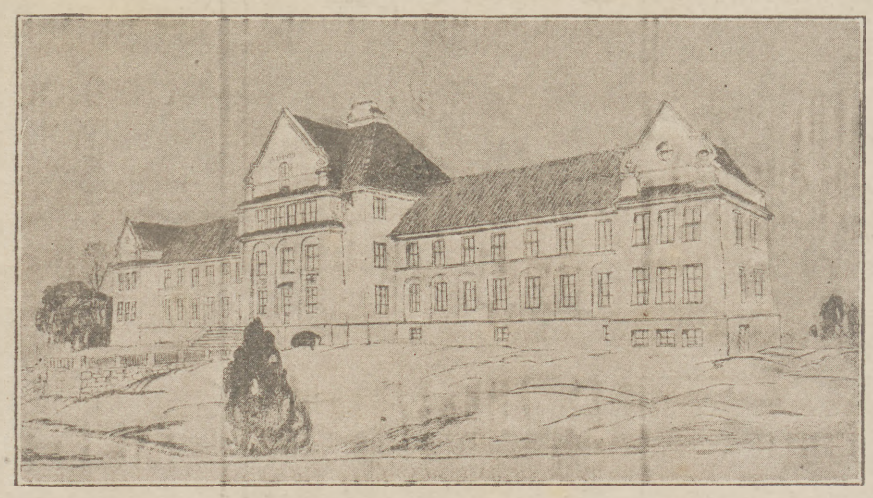

Kolonia lecznicza w Busku. Budynek główny na 100 dzieci.

DLA BIEDNYCH CHORYCH DZIECI.

Zagadnienie powetowania strat ludności, wynikłych z wojny, zarówno przez ilość zabitych i ranionych, jak i przez wynikłe z niej epidemie oraz braki odżywiania, jest zagadnieniem pierwszorzędnem dla wszystkich państw, tembardziej zaś dla nas, którzy na drodze niepodległości i potęgi pierwsze dopiero stawiamy kroki. W ten czy inny sposób przyszłość należeć będzie do narodów najliczniejszych, to jest posiadających największy współczynnik przyrostu. Aby ten przyrost zapewnić, trzeba przedewszystkiem dbać o zmniejszenie śmiertelności, zwłaszcza u dzieci, dlatego więc każde usiłowanie w tym kierunku zasługuje na najgorętsze poparcie.

Jednem z takich usiłowań jest zamierzona w ostatnich czasach *Kolonia lecznicza im rektora d-ra med. Józefa Brudzińskiego dla dzieci zołzowatych przy zdroju mineralnym w Busku.* Dr. Sz. Starkiewicz napisał o niej broszurę *), mającą cel nie tylko sprawozdawczy, ale i propagandystyczny zaznajomienia z kolonią najszerszego ogółu, oraz zachęcenia do ofiarności publicznej na cel tak doniosły. Dotychczasowe ofiary składały się z istnych „wdowich" groszów, „które, doprawdy, rodziły jakby setki i tysiące koron, przesiąknięte bowiem były owe grosze bogactwem uczucia i płodnych życzeń serdecznych dla powstającej instytucyi"; nie można „pominąć z uczuciem żalu i goryczy „możnych tego świata", najczęściej obojętnych na los instytucyi, boć kilku zaledwie ziemian okolicznych oraz przemysłowców w Zagłębiu... to trochę za mało!"

„Najtrudniejsze początki już są poza nami — mówi dr. Sz. Starkiewicz. — Nabyto dziesięciomorgową parcelę na wzgórzu, znajdującem się tuż za zakładem kąpielowo-zdrojowym, uruchomiono następnie własną cegielnię, która wyprodukowała około 180,000 sztuk cegły, i niebawem rozpocznie się budowa według gotowych już planów i kosztorysów. Sprawozdanie kasowe Komitetu budowy świadczy, że funduszami dysponowano oględnie i za małe pieniądze dokonano wielkich rzeczy.

Kiedy kolonia zostanie stworzona „ze skrofulicznego materyału dziecięcego, dziś, niestety, tak licznego, stanowiącego przednią straż gruźlicy, urabiać się będzie w kolonii buskiej inna straż obywateli zdrowych, co w najbliższej przyszłości nie tylko bronić będą Polskę, lecz i budować ją będą dobrze, mając w zdrowem ciele ducha zdrowego".

A na to potrzeba pieniędzy. To też pragniemy gorąco, aby słowa powyższe trafiły do „możnych tego świata", przebiły skorupę egoizmu i, w imię zdrowia ich dzieci, zachęciły do ofiar na rzecz biednych i chorych.

*) Busk — Dąbrowa Górnicza, 1919—1920. Str. 43 w 16-ce.

Nr 15

Ogóln. zb. № 3,152
Wydawnictwa rok 61.

10 Kwietnia 1920 r.

Tygodnik Illustrowany

Z BOŻEJ ŁASKI (drzeworyt) W. SKOCZYLAS

OBRONA NAUKI.

W Warszawie rozpoczął obrady zjazd, poświęcony sprawom organizacyi i rozwoju nauki polskiej.

W tej ważnej dziedzinie życia narodowego stoimy w obliczu perspektyw zatrważających. Cała Inteligencya polska, a jej szczyty naukowe w szczególności przeżywają ciężki kryzys materyalny. Uczony polski, który nigdy nie opływał w dostatki, jest dzisiaj w społeczeństwie paryasem. Nauka polska, która nigdy nie rozporządzała środkami tak zasobnymi, jak nauki narodów innych, skazana jest niemal na zagładę.

Państwo, obarczone tysiącem zadań organizacyjnych, nie może o niej myśleć w stopniu dostatecznym. Społeczeństwo, w którem bogaci się wyłącznie producent rolny i pośrednik handlowy, nie myśli o niej wcale.

Uniwersytety polskie uposażone są poniżej swoich minimalnych potrzeb. Profesorowie wynagradzani są gorzej od niewykwalifikowanych robotników. Instytuty naukowe nie mają środków na prowadzenie badań. Akademia Umiejętności w Krakowie, Kasa im. Mianowskiego i Towarzystwo Naukowe w Warszawie zubożały niepomiernie wskutek dewaluacyi pieniądza. Zapomogi i nagrody, udzielane przez nie, nie stoją w żadnym stosunku do pokrycia kosztów pracy naukowej. Nie wystarczają nawet na wydrukowanie dzieła naukowego, dokonanego bezinteresownie.

Widoki na jutro są jeszcze gorsze. Skromne warsztaty naszej nauki staną. Będziemy mogli co najwyżej utrzymać pewną ilość „urzędników naukowych", powołanych do egzaminowania młodzieży akademickiej, ale twórczość naukowa zamrze. Nie podobna bowiem oczekiwać zbyt daleko idącej abnegacyi i ofiarności ze strony ludzi, wśród których zaledwie nieliczne jednostki są materyalnie niezależne, ogromna natomiast większość musi pracować na chleb. Tymczasem praca twórcza w dziedzinie nauki wymaga wyłącznego oddania się sobie. Wymaga długich lat, poświęconych jednemu celowi. Wymaga skoncentrowanego wysiłku badawczego, który nie może rozpraszać się na strony.

Taką pracę musimy zorganizować, aby uchronić naukę polską od upadku, a tem samem dać narodowi podwaliny do samodzielnego istnienia i rozwoju.

Naród bowiem bez własnej nauki ani istnieć, ani rozwijać się nie może. Skazany na naśladownictwo, na korzystanie z cudzej produkcyi duchowej i umysłowej, nie zdoła ani zachować, ani rozwinąć swojej indywidualności. Będzie szedł w szarym ogonie cywilizacyi i kultury, będzie pachołkiem tych, co tworzą i budują życie własnemi siłami, z myślą o sobie. Jego potrzeby z konieczności będą się przystosowywały do potrzeb innych narodów, a jego pokarmem będą resztki, spadające z obficiej zastawionych stołów.

Zrozumienie tego stanowi jeden z najważniejszych postulatów chwili.

Społeczeństwo polskie musi zdać sobie jasno sprawę z tego, że istnieć bez nauki własnej nie może, że szkoły, które ma i na które łoży, to nie nauka ale *oświata*, i że dla ugruntowania gmachu tej oświaty potrzebna jest jeszcze nauka twórcza, jak koło rozpędowe potrzebne jest do uruchomienia połączonych transmisyami kół przy poszczególnych warsztatach w wielkiej fabryce.

Pochłonięte troską o swój dzień powszedni społeczeństwo zapomina o tem. Ogląda się na rząd i oczekuje od niego wszechstronnej opieki nad nauką.

Jest to zła droga, bo gdyby nawet rząd polski posiadał dzisiaj odpowiednie środki na ten cel, to i wówczas jeszcze nie ustałby obowiązek społeczeństwa względem nauki.

Tylko bowiem społeczeństwo może zapewnić nauce jej niezależność, jej swobodę w podejmowaniu tych lub innych zagadnień, jej niebiurokratyczną wolność.

Widzieliśmy na przykładzie Niemiec, do czego doprowadził etatyzm naukowy w tem państwie. Widzieliśmy naukę pruską, wprzągniętą do rydwanu Hohenzollernów, widzieliśmy profesorów uniwersytetów niemieckich w służbie nie nauki lecz polityki, sprzymierzonych przeciw cywilizacyi i prawu, wyzutych z najelementarniejszego poczucia sprawiedliwości.

Nauka, oparta o naród, nigdy na takie manowce nie zboczy, nigdy nie pójdzie w jarzmo.

Nie państwo więc ale naród sam powinien organizować swoje życie naukowe w myśl swoich potrzeb i swoich ideałów. Państwo jest tylko regulatorem społecznych w tej dziedzinie poczynań.

Dlatego też nauka w ciężkich chwilach, jakie przeżywa, nie do państwa ale do społeczeństwa zwrócić się musi przedewszystkiem o pomoc i nie państwo ale społeczeństwo powinno się na ten apel odezwać gorąco i jednomyślnie.

Zanim się narodzi w Polsce polski Carnegie, zanim powstawać zaczną u nas instytucye naukowe, fundowane przez jednostki, zbiorowa ofiara narodu zażegnać może jedynie zbliżającą się klęskę i uchronić naukę od upadku. Ofiara całego kraju—miast i wsi—rad miejskich i sejmików, uchwalona bez zwłoki, jako dobrowolny podatek na rzecz obrony narodowej, bo obroną i najpewniejszym puklerzem narodu przeciw obcym wpływom i podbojom jest jego własna, wolna, żywa i rozkwitająca nauka.

ROK 63 Z wystawy jubileuszowej w T. Z. S. P. ANTONI PIOTROWSKI

U BRAMY NOWEGO ŻYCIA.

Nie potrzeba być na to ani mistykiem, oderwanym od ziemi, ani parakletystą-historyozofem w rodzaju Cieszkowskiego, żeby przyjść do wniosku, że wojna obecna, największa ze wszystkich, jakie dotychczas na tym globie istniały, pociągnie za sobą największe skutki—z tych wszystkich, jakie dotychczas wojna zgotowała.

Jest ona, istotnie, sądząc na sam obraz i na ludzkie wrażenia, jakimś olbrzymim, nieznanym dotychczas kataklizmem i huraganem dziejowym, który otworzy bramy nowego jakiegoś życia, nowy wiew i nowe słońce z poza swych podwoi wytoczy.

Jakiż to będzie ten nowy wiew i to nowe słońce, skutki wojny, rozważane na mocy dotychczasowych dziejów, w łańcuchu ich przyczyn zasadniczych?

* * *

Nikt zdrowo myślący nie zaprzeczy, że *myśl* ludzka w najszerszem znaczeniu,—to, co św. Jan nazywa *Słowem*, *Logos*'em, które było na początku u Boga—jest jedyną dźwignią życia i kierowniczką ludzkości. Bez niej, istotnie, nic się nie stało z tego, co się dotychczas stało: ona jedynem dla człowieka światłem w ciemności, zwierciadłem, w którem się jawi i Byt, i Przyroda, i cały łańcuch przyczynowy życia. Ona jest wyobrażeniem człowieka o Bogu, odbitem z wyobrażenia Boga o człowieku w zwierciedle ułomnej przyrody ludzkiej. Odrzućmy tę *myśl*, to zwierciadło rzutkie,—zgaśnie całe życie, nie będzie bowiem tego, co to życie *pojmuje*.

Jakież więc dotychczas na całej przestrzeni wiadomego nam życia są dzieje tej *myśli*, tej zasady kierującej życia?

Rozważając dzieje ludzkości na całej przestrzeni wiadomego nam życia, przyjść musimy do wniosku, że dzieje te są jednym ciągiem, oddzielonym atoli od siebie wielką bramą, którą Chrystus otworzył, jako nową zorzę ludzkości. Okres ten jest stanowczym, przełomowym w dziejach ludzkości—tak, że dotychczas dwie właściwie znane nam są ery, dwie epoki życia: do-chrześcijańska i chrześcijańska. Są one w wyraźnym stosunku do siebie, jako *teza* i *antyteza*. Wyjaśni to się słuszniej na dziejach owej *myśli*, ruchomości tych er zasadniczych.

Jakież jest życie tej *myśli* w epoce do-Chrystusowej?—Myśl ta żyje, rozwija się i zdobywa światło, *uwięziona w przyrodzie ludzkiej i pod prawem wyłącznie tej przyrody*. Jest ona związana z *tym światem* i ma jedynie przeczucia niejasne i zapowiedzi *tamtego świata* swej istoty. Nie zna jeszcze zupełnego oderwania się od przyrody, swej wolności zupełnej, swego bytu w sobie. Jest ona immanentną, nie zaś transcendentną dla siebie.

Tą drogą żyje i religia tej *myśli*, czyli jej życie duchowe, objawione, i wszystko prawodawstwo państwowe, czyli jej życie przyrodzone, społeczne.

Myśl ta przyrodzona pod względem prawodawczo-państwowym dochodzi do najwyższego rozkwitu, jak w państwie rzymskiem, zawarowując prawa obywatela (*civis*) tej ziemi i kładąc podwaliny prawa cywilnego i administracyi dla całych przyszłych wieków—i, mimo to, państwo, które tę myśl wydało, rozpada się doszczętnie. Nie ma bowiem ta myśl karmi duchowej do wcieleń w życie, nie zna *tamtego świata* swej jaźni i bytu oderwanego swych świateł od przyrody. Nie zna wiary w życie duchowe swej treści. Litera nie wsparta duchem nieśmiertelnym. I litera ta zabija życie.

Ale oto przychodzi Chrystus, boski odkrywca *bliźniego* i *tamtego świata* myśli ludzkiej,—naoczny, namacalny wyraziciel wolności bezwzględnej tej *myśli* i obywatelstwa ludzkiego w Bogu. Dla *myśli*—wskazane nowe tory bytowe, niezależne od przyrody, i nawet wręcz ją upośledzające. „Duch jest, który ożywia, ciało nic nie pomaga". „Jam jest w Ojcu moim, a wy we mnie, a ja w was". „Kto we mnie wierzy, ten ma żywot wieczny". „Jam jest droga, i prawda, i żywot"

Oto słowa nowe, które niesłyszaną dotychczas wieścią roznoszą się po świecie. *Myśl*, *Słowo*, które było na początku u Boga i które było kierownikiem ludzkości od początku, stało się Ciałem, mieszkało między ludźmi, zaświadczyło się całą mocą ofiary i dało już wzór odtąd ludzkości na nieskończony rozwój swego *nowego świata*. Równość wszystkich ludzi w Bogu i królestwo boże ducha zostało objawionem na ziemi na dążenie już bezkresowe. Poczyna się nowa era ludzkości, zdobywanie i przybliżanie tego królestwa bożego *myśli*, wojowanie tej myśli z oporną zawsze przyrodą. Walka tęsknoty, ideału, który jest w duchu, z rzeczywistością, która jest w przyrodzie. Walka *tego* i *tamtego świata* myśli ludzkiej. Okres antytetyczny w stosunku do dawnego, okresu przyrody i jej prawa. „Nie mniemajcie, żebym przyszedł puszczać pokój na ziemię; nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz".

Zrazu *myśl* ta, poprzez zorzę męczeńską pierwszych swych wieków, poprzez ascetyczne i mistyczne średniowiecze uroczne, poprzez wojny krzyżowe, ima się łacno swych nadziemskich regionów w ekstatycznej jakiejś podniecie. Życie atoli nie jest ciągłą ekstazą, a natura ludzka aż nadto w prochach skażona. Ekstaza, ściągnięta do prochów ludzkich, wyradza się rychle w zabobon, zdziczenie i czarownictwo potworne. Nadchodzi reakcya czasów Odrodzenia. *Myśl* obleka się w bujną szatę piękna pogańskiego, tą drogą równoważąc swą szalę *zaświata*. Ale szala bujności znów się obciąża grożąco pysznem odzieniem mocy *tego świata*. I znowu reakcya. Reformacya, racyonalizm, krytyka oporna w lico auterytetowi, rozdział stanowczy państwa i kościoła, rozdział teologii i filozofii, rozdział wiary i wiedzy. I tak aż do rewolucyi francuskiej, i tak aż do ostatniej, najkrwawszej powodzi dziejowej. Dwie szale współistne życia chwieją się i szarpią bez przerwy,—

walczy *ten świat* i *tamten*, zawarte w istocie ludzkiej—i gdy jedna w dół ciągnie, druga musi również wyżynę swą zniżyć, by życie zrównoważyć, bowiem jest ono ruchem, zaś równowaga i pokój szal jest rzeczą tylko *domyślną* i tylko pragnieniem ducha. To jednak, co się osiąga z tej szal miotaniny, to—wyższy wciąż poziom wzniesienia, to ruch sam wciąż bliższy pokoju, to dłuższy wciąż okres przewagi. Narody tępią się i walczą, idea się wznosi powoli. Czemże bowiem jest rewolucya francuska ze swemi hasłami braterstwa, równości, wolności, jeśli nie antytetycznym okrutnym obrazem ziemskim tego, co w duchu, jako *dobra wola*, zdawien założone? Lecz gdy dobra wola, lecz gdy *tamten świat* w człowieku opóźnia się lub gnuśnieje w swej treści, *ten świat* urządza krwawe widowisko, tą drogą *świat tamten* wzniecając. Czem jest socyalizm, czem zrzeszenia robotnicze, jeśli nie upomnieniem się zziemska o to, co z *dobrej woli*, co zniebieska ma spływać wciąż powszechnie na życia obszary? Czem wreszcie wojna ta straszna, jeśli nie skutkiem koniecznym naprawczym nagromadzonej od wieków złości, fałszu, obłudy i zapomnianych już prawie istotnych celów życia?—Tak walczą z sobą góry nienawiści, by zdobyć okruch miłości.

* * *

Zróbmy atoli bilans najkrótszy za upływające już dwutysiącolecie *nowej wieści* świata, obaczmy, o ile *tamten świat*, *królestwo boże* myśli, przybliżyło się do tej ziemi istotnie po walkach tylowiekowych.

Zdobycz będzie może niewielka w stosunku do pragnienia chwilki, pomnijmy jednak, że dzieje nie są chwilką, lecz ciężkim, bolesnym łańcuchem—i że u Boga jedynie tysiąc lat naszych jest, jak jeden dzień.

Oto są zdobycze pewne, niecofnione z dwutysiącolecia rozdwojonej w sobie *myśli*, walczącej o swe *niebo* przydane, o jego zbliżenie ku ziemi:

Niewolnictwo z oblicza tych dziejów zgładzone;

Stany poniekąd zrównane. Idea *bliźniego* i równości w duchu—teoretycznie przynajmniej—uświęcona; przywileje w znacznej mierze skasowane;

Oświata rozszerzona i upowszechniona;

Prawa jednostki w państwie zawarowane;

Wojny, od czasu wynalazku prochu i narzędzi wojny niszczących, acz cięższe i krwawsze, wciąż rzadsze i krótsze. Tak gwałt się własną wciąż pobija bronią. Ligi pokojowe dały już wyraz początkowy pacyficznym dążeniom ludzkości;

Wolność sumienia, wolność wiary i praw narodowościowych—zdobyły już znaczne postępy decydujące;

Miłosierdzie i samarytanizm, nawet podczas mściwości wojennych, szczytnie podniesione;

Zrzeszenia ludzkie: filantropijne, oświatowe, sportowe i współdzielcze, rosnące z szybkością przedziwną, dają obraz wciąż większej tęsknoty do braterstwa i zbliźnienia ludzkości;

Stanowisko kobiety i jej prawa społeczne wzniesione i wciąż się wywalczające. Z niewolnicy starego świata, z bawidełka średnich wieków, z donny, z boginki, z kurtyzany, staje się ona wciąż bardziej rzetelną towarzyszką pracy mężczyzny—(nie bez znacznych jeszcze przywilejów płci);

Dziecko i wychowanie w ostatnich czasach stało się szczególną pieczą ludzkości—zjawiskiem, niepamiętnem w dziejach.

Te i tym podobne niezaprzeczone zdobycze *myśli* bojującej, w ostatnich dziesiątkach lat niezmiernie gorączkowo postępujące, jak gdyby w przeczuciu nowego zwrotu, zastała bilansująca okrutnie wojna ta *in actu*—w samej ich pełni plennej.

Przypuszczając tedy—co i ze względu na niesłychany, wręcz niestosunkowy, jak przed metą, pościg rozwojowy ubiegłego stulecia, zwłaszcza w technice życia, i ze względu na analogie dziejowe, rozwiązujące się decydująco w okresach mniej więcej tysiącoletnich—nie jest zgoła nieprawdopodobnem,—przypuszczając tedy, że wojna obecna jest istotnie wielką siekierą dziejową, wyrąbującą bramę nowej całkiem epoki życia (stąd nie wynika, by po wyrąbaniu tej bramy nie było jeszcze w tych dziesiątkach lat wielkich, wstrząsających tą ziemią niespodzianek—właśnie przy tłoczeniu się ludzi u wejścia do tej bramy), jakiż, na mocy dotychczasowych przesłanek dziejowych, przedstawi nam się widok z tamtej strony bramy nowego okresu ludzkości?

Przedewszystkiem, będzie to okres *syntetyczny* w stosunku do poprzedzającego *antytetycznego*. Wszystko, co w poprzedzającym okresie było rozdwojeniem *myśli* i tylko *przybliżaniem* jej wyżyn, stanie się w epoce przyszłej *spełnianiem*, wcielaniem i urzeczywistnianiem. Spełnianiem *w duchu i prawdzie*. *Tamten świat* myśli ludzkiej, wciąż przybliżany do *tego świata* w okresie poprzedzającym, zacznie się zlewać z nim, przeradzając go już na swoję modłę duchową. Będzie to „rozlaniem ducha na wszelkie ciało" oporne, zsyntetyzowaniem duchowem, porwaniem—by tak rzec—ziemi gwałtownem do królestwa bożego *myśli*, na jej już doświadczone przewody.

A więc przedewszystkiem:

Jak okres obecny zawarował już raz na zawsze prawa jednostki w państwie, tak okres przyszły zawaruje już raz na zawsze prawa wszystkich narodów w ludzkości. Za lat już pięćdziesiąt, lub prędzej, ludzie ze zgrozą, jak dziś się mówi o torturach średniowiecznych, będą mówili o tych czasach, kiedy w Europie naród pogwałcony nie mógł mówić, pisać, modlić się, czuć i myśleć nawet—tak, jak mu sumienie narodowe nakazuje. Przemoc wroga zaborcza przyjdzie wreszcie do przeświadczenia, że żaden naród chrześcijański umrzeć nie może, gdyż jest już, *ipso facto*, jako współuczestnik darów wiecznych *tamtego świata* myśli, tonem niezbędnym w ogólnej harmonii nowego przymierza—i że więc śmierć jego byłaby zarazem śmiercią całej harmonii ludzkości.

Militaryzm i wojny, doprowadzone *ad absurdum*, zostaną prawdopodobnie zupełnie z dziejów utrącone. Dzisiejszy skautyzm i junactwo młodzieży—to przyszłe dobrowolne kadry armii ochronnych państw. Zatargi między państwami sądzić będzie trybunał najwyższy ludzkości, jak dziś sądzi zatargi jednostek trybunał państwowy. Ludzkość przestanie gromadzić miliardy na to, by je puszczać peryodycznie z dymem i ogniem morderczym—po kilkaset milionów dziennie, jak w wojnie obecnej. Kapitalizm wogóle straci prawdopodobnie swoją wagę przewodnią—i, kto wie, czy w przyszłej epoce ubóstwo dobrowolne nie będzie tak zaszczytnem, jak dziś są zaszczytnymi miliony.

Z polityki i dyplomacyi narodów zniknie fałsz, wybieg, podstęp i zdrada. Na miejsce *racyi stanu* wstąpi racya sumienia. Siła ustąpi przed prawem, prawo przed miłosierdziem. Dyplomaci zrozumieją nareszcie, że jedyną polityką, prowadzącą ludy do szczęścia, jest polityka *myśli* bożej, *Słowa*, które było na początku u Boga, a które wciąż w życie wcielać się powinno. Polityka *dobrej woli* człowieka, pokój czyniąca na ziemi *).

Polska, która z tą wojną akt ostatni swego męczeństwa i pokuty odbyła, w imię tych racyi sumienia, powstaje wolna i niepodległa w zjednoczeniu wszystkich ziem polskich; poza dostępem do morza, jako słusznością niezbędną, winna ona otrzymać odszkodowanie za krzywdy, jakie przez lat sto ponad miarę kary dziejowej od państw ościennych znosiła.

Rozszerzająca się idea demokracyi spełni się w powszechnej idei *plesiokracyi* (*plesios*—po grecku: bliźni). Będzie to jedyna idea społeczna, zasadna w przyszłości. *Towarzysza* zastąpi *brat*. (Piękny wyraz przeczuciowy tej idei zaszczepiła przed kilku wiekami jeszcze Polska,—niestety, w stosunku do jednej tylko klasy narodu i z rychłem skażeniem ducha tej idei. W mowie atoli do dziś w jednej Polsce wyraz mianujący: *bracie* ma swe mimowolne świadectwo posłannicze).

Wszystkie szczytne zabiegi, wysiłki i dążenia epoki upływającej—oświatowe, zrzeszeniowe, odrodcze, filantropijne i wyzwalające—otrzymają w epoce przyszłej spełnienie, całkowite, wolne i nieprzymuszone. Życie wewnętrzne stanie się głównym zabiegiem. Różnice zewnętrzne zbiegną się w jednym celu.

W sumie:

Książę tego świata zostanie na czas dłuższy związany. Skończą się *średnie* czasy (wieki) ludzkości. Zaczęli je Germanowie i kończą je Germanowie. Poczną się *nowe* czasy. Ostatni cień feudalny pierzchnie z lica Europy. *Teza i antyteza* dwóch epok ubiegłych spłyną w jednej *syntezie* budującej.

Sprawdzi się przepowiednia starohebrajska w podobieństwach sześciu tysięcy lat ludzkich do sześciu dni stworzenia Boga: „dwa dni pustki, dwa dni prawa, dwa dni Mesyasza, zaczem—Sabbat". *Myśl* boża, stworzywszy Człowieka-Ludzkość, odpocznie w twórczem swem dziele—*szóstego dnia pod wieczerz* **). Dzieje popłyną czas jakiś szerokiem łożyskiem pokoju. Jeżeli...

Jeżeli *myśli* bożej w człowieku nie stanie nadal opak własna jego wola,—ona bowiem jest jedynym zarządcą na ziemi losów i wyboru: od niej cały bieg dziejów i nawet *gniew boży* zawisły.

Józef Jankowski.

---

*) Jeszcze przed stu z górą laty pisał Kant, że „polityka nie powinna uczynić kroku, nie pokłoniwszy się pierw moralności; i—chociaż przez się polityka jest rzeczą trudną, to jednak w połączeniu z moralnością nie jest zgoła sztuką: ta bowiem rozcina odrazu węzeł, którego tamta rozwiązać nie mogła—w wypadku, gdy obie są w sprzeczności z sobą". (*Zum ewigen Frieden*, zakończenie).

**) Jesteśmy dziś w roku żydowskim 5680-ym.

Z poezyi starowłoskiej.

Pod redakcyą A. Langego i A. Toma ukazało się wydawnictwo „Panteon Literatury Powszechnej"; wyszedł na początek zeszyt 1-szy Literatury włoskiej. Z dalszych zeszytów tego wydawnictwa dajemy kilka wyjątków.

FRANCESCO REDI.
(1628—1698).

BACHUS W TOSKANII.

(W URYWKACH).

Z Indyi dalekiego Wschodu
Świętny zwycięzca-bóg wina
Wstrzymał się, gdzie wesoła jaśnieje kraina
Wśród wzgórz etruskich ogrodu.
I tam, gdzie pałac królewski
Dumnem się czołem w błękit unosi niebieski,
Tam—na trawie na murawie
Bachus z Aryaną zasiada—
I, kropelki z cnej butelki
Przepijając i śpiewając,
Swej bogini tak powiada:
. . . . . .
Błogosławiony
Klaret czerwony,
Co nam tryska w Awinionie—
Tym puharze, który chłonie
Pierś ma w sposób uroczysty,
Lecz wierzaj—najczyściej czysty
Trunek zbierasz w Artimino:
Kadzią pijałbym to wino,
Co mi gardło tak przemywa,
Że przez nie dusza ma wiecznie jest żywa!
Aryano, do cię, bogini, kochanko,
Piję je kadzią—butelką—i szklanką!
Oskarżony, potępiony
Umęczony na uwięzi
Niech na długich wieków porę
Będzie ten, co na Lecorę
Zasiał wina pierwsze łozy,
Gdzie żrą gałąź po gałęzi
Niezliczone świnie, kozy!
Niech go zgnębi
Śnieg i deszcz, co lodem ziębi!
Lecz niech będzie wysławiony,
Uwielbiony, uwieńczony
Na wsze świata okolice
Ten bohater, co zasadził
Nam winnice
I wprowadził
Od Petraja do Kastelu
Pierwsze szczepy *Moskatelu*.
. . . . . .
Zaś *Moskateletu* wino
Z Montalcino
(Nikomu to nie ubliża)
Dobre jest dla dam z Paryża,
A niech też jego butelki
Piją i piękne Angielki...
Pisciancio z Kotony
Niech piją takie persony,
Co nie znają się na rzeczy—
Bo to trunek zbyt słodzony
I niezdrowy! Któż zaprzeczy?
Toż *Pisciarello* z Braciano:
Sprawa ta jest dobrze znaną,
Gdyż uczony Pignatelli
Pisał o tem szeroko, byście rzecz wiedzieli.
Za to kwaśne jest *Asprino*,
Nie wiem: ocet czyli wino—
Jedząc bażanty,
Piją go franty
W neapolitańskich gospodach,
A tuż na błękitnych wodach
Lśni winograd śród nasypu
Iskii oraz Pauzylipu.
. . . . . .
Na Sebecie zechcę może
Wybudować rozkoszy tron nad winotryski—
I wówczas ujrzę, jak naród w pokorze
Ofiaruje mi z Pauzylipu oraz Iskii
Nektar *Grecki*—
I wtedy może zgodę z nim uświęcę
I pić będziem, klaszcząc w ręce,
Na sposób niemiecki.
. . . . . .
Tymczasem tu, gdzie Arna toczy się nurt cichy,
Pić będziem z Pescii *Buriano*,
Colombano i *Trebiano*,
Napełniwszy po brzegi kielichy.
Ach, jest to złoto pijalne,
Co przepędza jak sen lichy
Wszelkie zło nieuleczalne!
. . . . . .
Korsykańskie wino pańskie
Lub stare wino *hiszpańskie*
Jako lek biorę na troski,
Bo to trunek iście boski—
Nie szelmostwo szarlatańskie!
To nie żadna czokolata,
Ni zielsko podłe—herbata!
Medykamenty takowe
Nie na moje gardło zdrowe.
O, już wolę tę zatrutą
Kafę *) z obcych ziarn wysnutą,
Trunek gorzki, czarny
Arabsko-janczarny,
Napój tak cierpki i mętny,
Taki ponury i mętny,
Że—jak w mogiłę cię grzebie.
W Tartarach zaś i w Erebie
Bezbożne wymyśliły go syny Baala,
Zgotowała Persefona
I z furyami Tyzyfona,
A jeżeli go sobie zachwala
Azyatyckie pogaństwo—
Toć to rozumu zaprzaństwo.
Rozum mają promieniący
Ci toskańscy pijanice,
Co połykają winnice
Złotego trunku
Milszego od pocałunku—
Małmazyę z Montegonzi.
Gdy ci ta przez ezofagi
I bulgoce i gulgoce—
Budzi w duszy żar odwagi
I niezwyciężone moce,
Które czuć ty możesz snadnie,
Lecz nie wypowiesz ich nigdy dokładnie.
Nie przeczę, że drogocenny,
Wonny, promienny
Jest bursztyn *kreteński* szumny,
Lecz zbyt wyniosły, zbyt dumny.
Pragnienia mego on nie zaspokaja,
Czarem go swym zwycięża, gdy mię jeno muska
I duszę mi wskroś upaja
Małmazya etruska!
Kto zasię szklanką bladego piwa
Gardło swoje chłodzi:
Tego wczesna śmierć porywa,
Albo rzadko go dochodzi
Starość dziarska a sędziwa.
Cydr angielski pijże sobie,
Gdy chcesz rychło leżeć w grobie:
Boć to nie dalekie grobu,
Jako na północy globu
Piją go liche pijaki od biedy:
Norwegi i Samojedy.
Gbur ci to istny, brudas z Lapończyka,
Co to pijaństwo takie rozpoczyna.
Na sam widok poganina
Takiego—dostałbym bzika.

*) Herbata, kawa, czekolada w czasie, gdy Redi pisał swój utwór, były mało upowszechnioną nowością.

Usta, sprofanowane tem bezbarwnem lichem,
Niech się oczyszczą,
Niech rozbożyszczą
Wonnym kielichem,
W którym perli ci się wino
Z złotych pereł winogradu,
Co rozkwita pośród sadu
Sansavino,
A które tak promienistem,
Tak czystem i przezroczystem
Robi Aretino;
Co się rodzi w Tregoniano
I na skałach Gigiano,
A jest tak rozpalające,
Ach—i tak podniecające...
Podczaszy—podaj mi tedy
To *Albano*,
To *Vajano*,
Co złotemi iskry sieje,
Co od ognia czerwienieje
Pośród pól mojego Redi!...

Jan Wieliczko.

SALVATORE ROSA *).
(1615—1673).

CZARY.

Hej, czary, czyńmy czary!
Kogo nie wzruszy niebo, wzruszą piekieł żary.
Środki wezmę magiczne
I mszy piekielnej głosy—
Węzły, zioła rozliczne
I wszystko to, co może poruszyć niebiosy.
Więc koła zworne,
Lodowe fale,
Ryby potworne,
Chemiczne szale;
Prochy rozmaite,
Kamienie tajemne,
Węże jadowite
I motyle ciemne;
Krwi zgniłej męty,
Jelita ścierwie,
Szkielet wyschnięty,
Pazury, czerwie;
Kadzidła plamiące,
Wycia przerażające,
Zatrute likwory
I z bagien fetory—
Co oczy zaćmiewają,
Co mrożą,
Co wyniszczają,
Co piekłem grożą,
Co fale Styksu zwyciężają.
Do tej więc jaskini czarnej,
Do której nie dochodzi nigdy promień słońca,
Z głębi tartarnej—
Ciżba się biesów przedarła wyjąca.
Sprawię, że czarny duch swoje płomienie
Rzuci w cyprysu i mirtu zielenie
I gdy powoli tak—włosek po włosku—
Zrobię jej postać z wosku—
Przez ognie tajemnicze
Zmieni się jej oblicze
W obraz jakoby żywy—
A gdy zapłonie sztuczny, zapłonie prawdziwy.

Jan Wieliczko.

*) Salvator Rosa, słynny malarz i fantastyk z XVII w., opisuje tu czarnoksięską operacyę, zwaną *involtamento*. Urobiwszy postać danej osoby z wosku, oczywiście z pewnym ceremoniałem, stawia się ją w zależność od siebie: kłując lub męcząc figurę woskową, ranisz lub nawet zabić możesz człowieka żywego; tu chodzi o wywołanie drogą magiczną uczuć miłosnych.

Ś. p. KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI — Według portretu K. POCHWALSKIEGO

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI.

□□

Jeżeli ostatnie pokolenie dojrzałej inteligencyi polskiej zbliżyło się istotnie do kultury włoskiej, jeżeli przestało patrzeć na jej skarby oczyma dyletantów albo oczyma turystów, oglądających kraj i jego zabytki z okien wagonów sypialnych i hoteli z nieodstępnym Bedekerem w ręku, to w znacznej mierze zawdzięczać to należy Kazimierzowi Chłędowskiemu.

Ogromna praca schyłku jego życia poświęcona bowiem była całkowicie zaznajomieniu społeczeństwa polskiego z tem, czem Włochy były i czem są dla cywilizacyi nowoczesnej.

Chłędowski, były urzędnik i eks-minister austryacki, przejdzie szybko do niepamięci. Niema już Austryi. Jego koledzy i przyjaciele wiedeńscy albo powrócili do kraju, albo rozproszyli się po świecie. Niewielu z nich szło za jego trumną, prowadzoną przez opustoszałe ulice dawnej stolicy Habsburgów. Ale Chłędowski pisarz, Chłędowski autor „Dworu w Ferrarze", „Sienny", „Rzymu", „Rococa" i „Historyi neapolitańskich" zostanie na zawsze w piśmiennictwie polskiem, jako jeden z najświetniejszych i najzasłużeńszych pisarzów.

Obdarzony niepowszednim talentem pisarskim, który błysnął samorodnem światłem w najpierwszych jego pracach publicystycznych, a zwłaszcza w tchnącej do dzisiaj świeżością i bogactwem doskonałej obserwacyi „Podróży do Anglii" —z biegiem lat, kiedy czas przyprószył mu głowę siwizną, nie tylko nie stracił nic z zasobów, którymi obdarzyła go natura, ale potrafił je pomnożyć i zużytkować w sposób, który może budzić podziw.

Patrząc na szereg jego dzieł, imponujących rozmiarami, erudycyą, doskonałem owładnięciem materyału, sumiennością niezwykłą w jego wyzyskaniu i nawskroś artystyczną formą, trudno oprzeć się zdumieniu, że dokonał tego jeden człowiek i to już o zachodzie życia, kiedy krew w żyłach wolniej krąży, a serce wyzbywa się młodzieńczego zapału.

Wbrew temu prawu przyrody Chłędowski rozpoczął swoją pracę i prowadził ją przez lat dwadzieścia, do 77-go roku życia, z niegasnącym na chwilę młodzieńczym zapałem.

Czemu to zawdzięczał? Odpowiedź na to niewątpliwie jest tylko jedna: gorącemu umiłowaniu przedmiotu, który go pochłonął całkowicie, który dał mu jedno z najsilniejszych przywiązań w życiu.

Kiedy zadzierzgnął się stosunek autora „Dworu w Ferrarze" z ziemią włoską, kiedy i w jakich okolicznościach bawił po raz pierwszy pod błękitnem niebem Italii i kiedy zetknął się z pomnikami jej sztuki—nie wiemy.

Prawdopodobnie pierwszych ocknięć się jego późniejszych zamiłowań szukać należy w samotnych wędrówkach po muzeach wiedeńskich, tam bowiem wyrabiał sobie smak i kształcił wrodzony sobie zmysł estetyczny.

W każdym razie, kiedy jechał po raz pierwszy do Włoch, był do tej podróży bez wątpienia przygotowany lepiej, głębiej i wszechstronniej od wielu Polaków, którzy zabierali z sobą wówczas do walizy podróżnej co najwyżej „Listy z Włoch" starego Kremera lub „Podróż do Włoch" Hipolita Taine'a.

Były to przez długi czas jedyne niemal źródła naszej wiedzy o sztuce włoskiej dawnych i późniejszych czasów, źródła niewątpliwie dobre, ale nie wystarczające już ani intelektowi ani znacznie podniesionej skali wrażliwości człowieka schyłku XIX-go i początku XX-go wieku.

Chłędowski musiał to odczuwać i pod wpływem tego odczucia mogła się w nim narodzić myśl napisania o Włoszech dzieła, odpowiadającego wymaganiom nowoczesnym. Dzieło takie wymagało jednak ogromnych studyów przygotowawczych.

I oto widzimy od tej chwili Ekscelencyę Chłędowskiego, spędzającego każde wakacye, każdą wolną chwilę na ziemi włoskiej. Ciągnie go tam nieprzeparta siła tęsknot wewnętrznych. Z Wiednia, gdzie ma swój dom, swoją bibliotekę, swoich przyjaciół, ucieka nieustannie na Południe, aby wędrować z miasta do miasta, skazywać się na niewygody życia hotelowego, szukać, badać, poznawać, gromadzić książki, wertować stare pamiętniki i pożółkłe akty po archiwach, studyować po muzeach i notować wszystko, nie wyłączając drobnych nawet szczegółów.

W ten sposób staje się Chłędowski panem ogromnego materyału, którym przed nim żaden z pisarzów polskich i nie tylko polskich nie owładnął w tak szeroklm zakresie. Z materyału tego powstawały kolejno jego dzieła.

Trzy w nich uderzają pierwiastki. Pierwszy to historyczność naukowa. Chłędowski nie czynił nic powierzchownie. Nie poprzestawał nigdy na informacyach z drugiej i trzeciej ręki, ale spraw-

Lady Hamilton.
Według portretu Romney'a.

dał i szukał sam, dopóki nie znalazł. A teren jego poszukiwań był obszerny, interesowała go bowiem w równym stopniu historya polityczna danego kawałka ziemi, jak i historya całokształtu swoistej dla tej ziemi kultury.

Drugi pierwiastek—to życie danej epoki, jej ludzie, jej atmosfera, jej upodobania i cechy najcharakterystyczniejsze, jako tło, na którem powstawała i rozwijała się kultura.

W tego rodzaju obrazach Chłędowski celował. Odtwarzał życie prawdziwe. Malował je takiem, jakiem musiało ono być istotnie. Na palecie jego nie zbrakło żadnej farby. Umiał równie dobrze oprzeć się na źródle nawskroś naukowem, jak pójść po światło do swawolnej anegdoty z czasów renesansu, baroku lub rokoka. Był barwnym, jak barwne były epoki, których dotykało jego pióro. Kolor każdej z nich ujmował bardzo trafnie i umiał przeprowadzić w odpowiedniej tonacyi od świtu do zmierzchu.

Te dwa pierwiastki są jednak dopiero przygrywką do tego, co zawsze najgłębiej leżało autorowi na sercu i co było najsilniejszym dla niego bodźcem w pracy, wymagającej wysiłku, rozłożonego na lata.

Trzeci pierwiastek jego dzieł—to sztuka, ten najwyższy objaw kultury, jej synteza w każdoczesnym momencie dziejowym.

Tu zbiegały się wszystkie myśli Chłędowskiego, wszystkie jego umiłowania.

Jako historyk sztuki, jako wytworny i wykwintny jej znawca, należy on na tem polu do najwybitniejszych w Polsce pisarzów.

Dzieła jego nie tylko informują o tem, czem była sztuka włoska w tej lub innej epoce, jakie są jej pomniki, ale uczą jednocześnie kochać to, co największe, i potrzebę tej miłości uzasadniają.

I dlatego można powiedzieć, że Chłędowski dziełami swojemi wybudował złoty most pomiędzy współczesną duszą polską a Włochami. Po tym moście szła do ziemi włoskiej cała niemal polska elita intelektualna.

Świadczy o tem ogromna poczytność dzieł Chłędowskiego, ich tak dalece szybkie wyczerpywanie się, że niemal wszystkie są już dzisiaj poza obrębem handlu księgarskiego.

Było to zjawisko zupełnie naturalne, jeżeli się zważy, że Chłędowski dawał czytelnikowi nie tylko bogatą, pouczającą treść, nie tylko dbał o przysporzenie mu wiedzy, nie tylko dzielił się z nim szczodrze tem, co sam posiadał, ale czynił to jednocześnie w formie pełnej powabu.

Świetny pisarz, obdarzony wyjątkowem poczuciem stylu, posługujący się językiem czystym i pięknym, umiał podbić i oczarować swojem słowem najwybredniejszych nawet smakoszów.

Ten niepowszedni urok, świeżość i rzeczywiste bogactwo jego wykładu sprawiły, że książki Chłędowskiego, ukazując się w przekładach na języki obce, zjednywały sobie równie gorące, jak w Polsce, uznanie.

Szczególnego rozgłosu nabrało nazwisko autora „Dworu w Ferrarze" w Niemczech, gdzie potrafił on skutecznie współzawodniczyć z najlepszymi w tym kierunku pisarzami niemieckimi.

Równie popularnym był Chłędowski we Włoszech, gdzie śmierć jego odbije się niewątpliwie żałobnem echem.

Jeżeli bowiem Polska traci w nim wybitnego pisarza, którego odejście stworzy w piśmiennictwie naszem lukę dotkliwą, to Włochy tracą w nim oddanego sobie przyjaciela, jednego z tych niewielu cudzoziemców, co poznali nawskroś duszę tej pięknej ziemi, umieli ją trafnie ująć i pokazać we wszystkiem, co stanowi trwałe, nieprzemijające wartości.

Włochy mają dzisiaj w Polsce wielu oddanych sobie, szczerych i wiernych przyjaciół. Na półwyspie Apenińskim powinno to być wiadome, ale powinno być wiadome również, że podwalinę do tej przyjaźni budował w Polsce współczesnej przez lat dwadzieścia Kazimierz Chłędowski, niezależnie od nastrojów politycznych, oparty jedynie o bezinteresowną miłość do sztuki, pocieszycielki i łącznicy narodów dalekich przestrzenią ale bliskich sobie duchem.

Z. Dębicki.

Masaniello.
Według rysunku Della Belli.

Wenera, zwana Kallipygos.
Rzymska kopia greckiej rzeźby w Muzeum Neapolitańskiem.

Giovanna d'Aragona.
Według portretu znajdującego się w Luvrze.

JANINA COLONNA WALEWSKA:

WEZWANIE.

W Twoją moc uwierzyć chciej,
Polsko! Polsko!
W przyszłość dumnie patrzeć śmiej,
Doli się nie lękaj swej,
Polsko! Polsko!

Każdy z nas o Tobie śnił,
Polsko! Polsko!
Gdy w niewoli jeszcze był,
Gdy swych nie mógł użyć sił,
Polsko! Polsko!

Dziś już dosyć tęsknych snów,
Polsko! Polsko!
Gdyś odżyła wielka znów,
Precz marzenia, czynem mów,
Polsko! Polsko!

Teraz tylko spraw ten cud,
Polsko! Polsko!
By w jedności stanął lud
I dosięgnął szczęścia wrót,
Polsko! Polsko!

W siły własne wierzyć chciej,
Polsko! Polsko!
Zgody ziarno w serca siej,
Doli się nie lękaj swej,
Polsko! Polsko!

SZTANDARY POLSKIE W ROSYI.

Niezadługo rozpocząć się mają rokowania polskie z bolszewikami. Jak wiadomo, w warunkach naszych pokojowych postawiono warunek zwrócenia nam wszystkich naszych zabytków narodowych, które Rosya kiedykolwiek zagarnęła była. Wobec tego sprawą aktualną będzie podanie notatki, zawierającej skrzętne dane o naszych sztandarach wojskowych, przechowywanych w muzeach rosyjskich.

Red. Tyg. Ill.

Polskie chorągwie (proporce, sztandary), razem wzięte, przedstawiają wielką rozmaitość pod względem barw, rozmiarów i różnych znaków. Matejko w swych dziełach monumentalnych wielokrotnie nam to przedstawił i znaczenie chorągwi wogóle wyzyskał; niemniej jednak pole do dalszych wdzięcznych badań podsunął.

Chorągiew, ten niemy świadek, im starszy tem cenniejszy, całe sobą przypomina dzieje.

W Polsce chorąży wielki koronny ze sztandarem korony po prawej stronię króla, przed marszałkiem wielkim koronnym (wyższy w hierarchii urzędniczej od miecznika wielkiego), stał, szedł lub jechał podczas ceremonii króla i podczas wszystkich wielkich wystąpień ceremonialnych, na których był obecny monarcha.

Kronikarze opisują, że na pogrzebie Kazimierza Wielkiego w r. 1371-ym czterdziestu rycerzy w purpurze, z których jedenastu z proporcami księstw królestwa polskiego, jechało za dwunastym, mającym największą chorągiew z herbem państwa — z Orłem Białym.

Jagiełło 9-go lipca 1410 r. po bitwie grunwaldzkiej, wziąwszy do rąk wielką chorągiew z Orłem Białym, ze łzami w oczach wygłosił modlitwę do Boga. W r. 1422-im, po zakończeniu czwartej za Jagiełły wojny krzyżackiej, po przejściu rzeki Drwęcy, po wysłuchaniu nabożeństwa, wszyscy chorążowie w zbroicach składali na klęczkach królowi powierzone sobie proporce, w te przemawiając słowa: „Najjaśniejszy królu, chorągiew tę, poruczoną wiernej mojej straży, składam z czcią pokorną Waszej Królewskiej Mości. Przy łasce i pomocy Bożej wiernie i w całości ją dochowałem, a jako z zaszczytem wziąłem ją z rąk W. K. M., tak ją oddaję, niepokalaną żadnem zbiegostwem, ani czynem niesławnym".

W pierwszych latach wieku XIX-go, wieku

Sztandar kwadratowy 49×49 cm. z aksamitu karmazynowego; w haftowanym srebrnym wieńcu z liści dębowych napis: „Pułk 1-szy Gwardyi Narodowey".

ofiar na ołtarzu wolności, strzelcy celni województw krakowskiego i sandomierskiego takie na chorągwi wypisali hasło: „Tym, którzy w boju upragnęli słynąć, dwie tylko drogi—zwyciężyć lub zginąć". Że krwią pisały się porozbiorowe dzieje nasze, więc na chorągwiach zjawiły się wyrazy silne i znaki tragiczne: „Wolność — Całość — y — Niepodległość" na chorągwi kościuszkowskiej, „Boże zbaw Polskę" z napisem wokoło Orła: „Wolność — Równość — Braterstwo" z r. 1848-go, „Za naszą i waszą wolność" z r. 1861, „Powstająca Polskość", „W imię Boga—zwalczym wroga, bo dziś z nami Bóg" z r. 1863—64. Napisy otoczone godłami wiary, nadziei i miłości, — wieńce cierniowe i kajdany przypominają czasy demonstracyi narodowych, gdy nowe, nieznane przedtem etapy powstawały na ziemiach całej Polski, pod przemocą trzech zaborców.

Śmiercią, więzieniami, katorgą karał wróg każde wystąpienie o wolność, kontrybucyami, konfiskatą i rabunkami ogałacano kraj z mienia, z dorobku kultury i sztuki, a nadewszystko z tego wszystkiego, co jako oręż mogło służyć ku obronie, co było symbolem organizacyi wojskowych, co było najdroższą pamiątką narodową.

Klejnoty rycerstwa polskiego wywożono skwapliwie, by następnie przerzucać te relikwie z miejsca na miejsce, z miasta do miasta, aż do zatracenia wielu z nich, jak to potwierdza teraźniejsza, ostatnia moja rejestracya.

Piotr Wielki był pierwszym z carów, który rozkazał niektóre stare działa rosyjskie przechowywać w cekhauzie. Za Katarzyny II-ej rozwijała się dążność do gromadzenia pamiątek „dla wiecznej sławy",— więc w r. 1770 w nowo zbudowanym gmachu na Litiejnym prospekcie przeznaczono obok arsenału „dostopamiatnyj zał", dużą, osobną salę, dla tych celów.

Pierwsze polskie chorągwie dostarczono tu z „Pietropawłowskoj krieposti" w r. 1778, jedne z najpiękniejszych, z w. XVII i XVIII.

Były to: 1) chorągiew jedwabna karmazynowa z krzyżem błękitnym i białym napisem: *In hoc signo vinces*; chorągiew wotywna któregoś z hetmanów, rzadkiego typu, ozdobiona malowidłami; z jednej strony, pod baldachimem namiotowym Matka Boska z piorunami w ręku, u Jej stóp dwaj klęczący dygnitarze polscy: jeden składa buławę i szablę, drugi — rozwinięty dyplom; na dalszym planie toczy się bitwa jazdy wśród trupów ludzi i koni,— na samym przodzie grupa z ośmiu jeźdźców z dobytemi szablami i jeden piechur; z drugiej strony wyobrażona walka aniołów z szatanami w obłokach, niżej powtórzona pierwszoplanowa grupa; 2) chorągiew wojska koronnego z czasów Augusta II-go z żół-

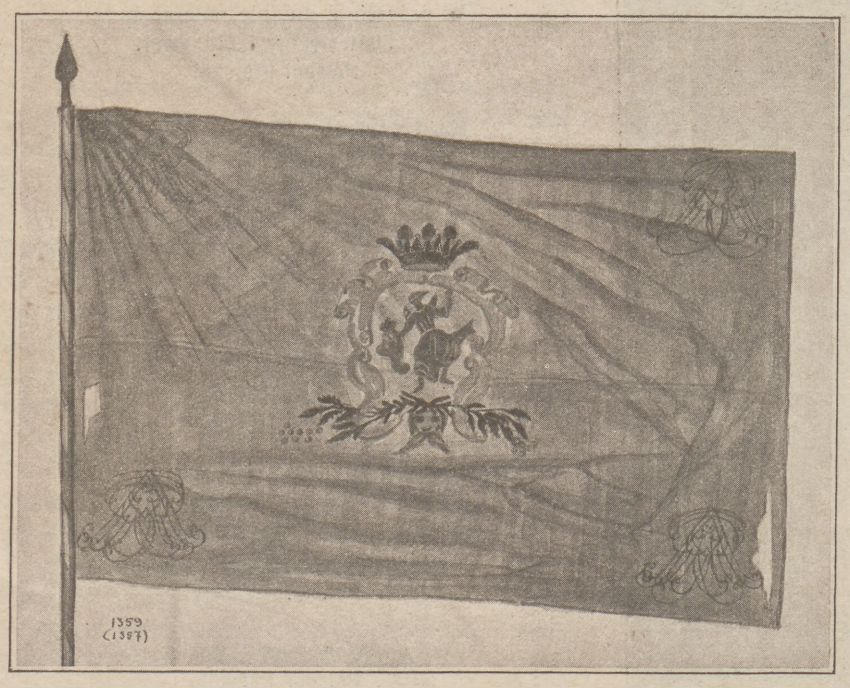

Chorągiew jedwabna, koloru płowo-karmazynowego z czarną postacią anioła (św. Michała?), z literami S. A. R. P. (Stanislaus Augustus Rex Poloniae); z drugiej strony Pogoń, w rogach herb Pociejów.

Strzępy chorągwi wojska królewskiego z czasów Stanisława Leszczyńskiego. Na amarantowym jedwabiu Orzeł Biały jedwabny z herbem Wieniawa na piersiach. Wzdłuż przekątni chorągwi żółte pasy w rodzaju pnia z obciętemi gałęziami. Wielkość 177×300 cm., drzewce stare dębowe 250 cm.

tego jedwabiu, ma krzyż z płomieniami w kątach; 3) chorągiew województwa podlaskiego z czasów Augusta III-go, z dwóch brytów: malinowego i niebieskiego, z wizerunkiem Matki Boskiej w chustce na głowie, na drugiej stronie herb Polski i Litwy, niżej napis: *Palatinatus Podlachiae*; 4) chorągiew karmazynowa z białym krzyżem maltańskim; 5) chorągiew zeszyta z materyi amarantowej i żółtej z krzyżem czarnym, na tle półksiężyc i gwiazdy; dalej: trzy chorągwie białe z herbem Ciołek (Poniatowskich).

Tak te chorągwie, jak i następne, niemal wszystkie były reprodukowane w „Wielkim albumie", wydanym po r. 1838-ym, obejmującym podobizny i opisy chorągwi, znajdujących się w „dostopamiatnom zale".

Ogółem w „dostopamiatnom zale" było 47 polskich chorągwi, z których 6 przepadło bez śladu w czasie przenoszenia ich w r. 1865-ym do magazynów Głównego Zarządu Artyleryi (na Litiejnym prospekcie), gdzie sortowano i sprzedawano zgromadzone przedmioty „wiecznej sławy" rosyjskiej.

Aleksander II położył kres temu wandalizmowi i ogólnie bogate jeszcze zbiory przeniesiono do nowego arsenału w twierdzy Pietropawłowskiej, do muzeum historycznego artyleryi, zaliczanego słusznie przed r. 1917-ym do najbogatszych w świecie, ze względu na różnorodność okazów, ich ilość (około 70 tysięcy), wartość historyczną, wiążącą się z dziejami nie tylko Rosyi, lecz i Francyi, Niemiec, Szwecyi, Turcyi i Polski.

Gromadzone w tym panteonie sławy narodowej okazy zostały chronologicznie według państw rozgrupowane przez jen. Brandenburga, który, w wykazie ręcznie pisanym r. 1882, pozostawił uwagi i sprostowania nas obchodzące. Z polskich odlewarni i szabelni znajdowało się tu około 400 przepięknych okazów i nie dająca się obliczyć liczba cudzoziemskich wyrobów, co to, należąc niegdyś do rycerstwa polskiego i zbiorów naszych, weszły jako nie-polskie do grup obcych.

Klejnoty rycerstwa naszego wywożono do Rosyi skwapliwie, stare chorągwie zabierano z arsenałów, nowe, krwią polską zbroczone, zdobyto w czasie walki o wolność, więc w różnym są stanie: są dość całe, a są i same tylko strzępy. 1-a chorągiew z wieku XVI-go, 17 różnych z w. XVII i XVIII, 15 — Augusta II, 2 Augusta III, 3 — Stanisława Leszczyńskiego, 18 — Stanisława Poniatowskiego, 2 kościuszkowskie, 15 — z początku wieku XIX, 3 — z czasów napoleońskich, 51 z lat 1815—27, 28 z r. 1831, 2 z roku 1848, 1 z roku 1855, 4 z lat 1861—63, 12 z lat 1863—64, 2 z r. 1914 — ogółem 176.

Przechowywano je: w Muzeum historycznem artyleryi — 56 (41 dostarczone z sali pamiątek na Litiejnym prosp.; 15 z arsenału Carskosielskiego), w Muzeum Suworowa — 6, w arsenale pałacu Aniczkowskiego — 4, w Ces. Komisyi trofeów w Petersburgu — 2, w Orużejnoj Pałacie w Moskwie — 82, w Muzeum 1812 roku w Moskwie — 9 (7 przeniesiono z Kazańskiego soboru w Petersburgu, 2 — z Orużejnoj Pałaty), w Wojenno-historycznem Muzeum w Tyflisie — 3. Rejestrowano również chorągwie nasze w zbiorach prywatnych.

Chorągwie z naszych tragicznych dni, zdo-

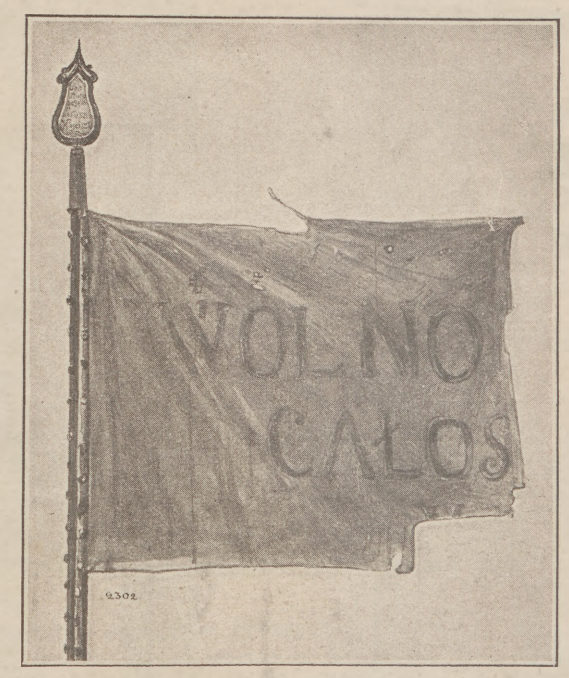

Szczątki chorągwi kościuszkowskiej z jedwabiu amarantowego. Cała wielkość przypuszczalnie 86×100 cm. Na jednej stronie pozostał ślad napisu czarną farbą: „Wolno... Całoś.. y..." („Wolność—Całość—y — Niepodległość"). Drzewce zakończone grotem, w środku wyryto: „Powstanie Narodu dn. 24-go mar. pod Tadeuszem Kościuszki" (sic).

Sztandar karmazynowy pułku 3-go strzelców konnych, w rogach monogramy (Mikołaj I) haftowane złotem; orzeł haftowany srebrem.

bywane w roku 1863, sama cesarzowa Marya Aleksandrówna, odpowiednio komentując, wydała ze swych komnat w pałacu Zimowym jen. Gillowi, dla rozrzucenia po muzeach i arsenałach. Nie zmieniono pod tym względem zwyczaju poprzednika—Mikołaja I.

Gdy w roku 1831 zwieziono do Petersburga 18 chorągwi pułków piechoty liniowej, na rozkaz Mikołaja I-go pomieszczono pod temi chorągwiami następujący napis w jęz. rosyjskim: „Aleksander I, dobroczyńca Polski, darował te chorągwie swojemu wojsku polskiemu. Zdrada była odpowiedzią na wspaniałomyślność. Po wzięciu Warszawy dnia 25—26 sierpnia 1831 roku, bez jej zniszczenia, waleczna, wierna armia rosyjska chorągwie te zwróciła".

Co zaś do 18-tu chorągwi pułków jazdy wojsk Królestwa kongresowego, 8-iu pułków piechoty, 1-ej I-go batalionu saperów, oraz 1-ej chorągwi kaliskiego korpusu kadetów, to te wszystkie z polskim Orłem Białym i monogramem M. I, dane przez Mikołaja I w r. 1827, otrzymał car w r. 1831, wszystkie tak, jak i wyżej wymienione chorągwie Aleksandra I, z wyskrobanym monogramem; ocalał on tylko częściowo na paru chorągwiach (ob. podobiznę); okoliczności tego faktu, oraz złego stanu wielu z tych chorągwi—do zbadania, jak niemniej miejsce znajdowania się dwóch zatraconych z kompletu 18-tu mikołajowskich.

Te oto wszystkie, oraz nasze narodowe umieszczono w Orużejnoj Pałacie w Moskwie, jak to potwierdzają opisy z r. 1835.

Z tej całości oddzielono cztery „dla ozdoby" arsenału w pałacu Aniczkowskim (bogatego w pamiątki po Stanisławie Auguście).

W r. 1917, za Kiereńskiego, zatwierdzono wydanie Polakom wszystkich 82 chorągwi, znajdujących się w Orużejnoj Pałacie (kwestyonowane były tylko dwie—legionów polskich we Francyi, bo jedna z tegoż czasu ofiarowana przez Napoleona, z napisem: „L'Empereur Napoléon au régiment polonais", była już przeniesiona do Muzeum r. 1812 w Moskwie). Nie skorzystał z tego p. Al. Lednicki, ani, za jego prezesostwa, Komisya Likwidacyjna dla spraw Królestwa Polskiego; zamknęła się droga, nie odebrano, nie skompletowano rozrzuconych całości, nie odzyskano wówczas chorągwi, choćby tych z ogólnej liczby, co się nam należą bez zastrzeżeń.

Podana przeze mnie liczba 176 chorągwi nie jest pełną, chorągwi polskich w Rosyi było więcej.

Które z nich przetrwają czasy dzisiejsze, sprawdzą w przyszłości komisarze Polski i miejmy wiarę, że nam je zwrócą.

Poprzestać jednak na tem nam nie wolno, musimy zebrać wszystkie dane: gdzie i jakie posiadamy relikwie narodowe do odzyskania, zbadać je i odebrać.

Dla tych dawnych i dzisiejszych świadków chwały, tragedyi i bohaterstwa jedno już teraz w czasie pokoju miejsce: w przyszłej świątyni Narodu Polskiego *).

Aleksander Borawski.

*) Ob. w № 52 „Tygodnika Illustrowanego" z r. 1919 artykuł mój: „O Muzeum Wojny, jako świątyni Narodowej w Polsce".

Z FRONTU WOŁYŃSKIEGO.

Adres, złożony w hołdzie Naczelnikowi Państwa przez mieszkańców m. Równa.

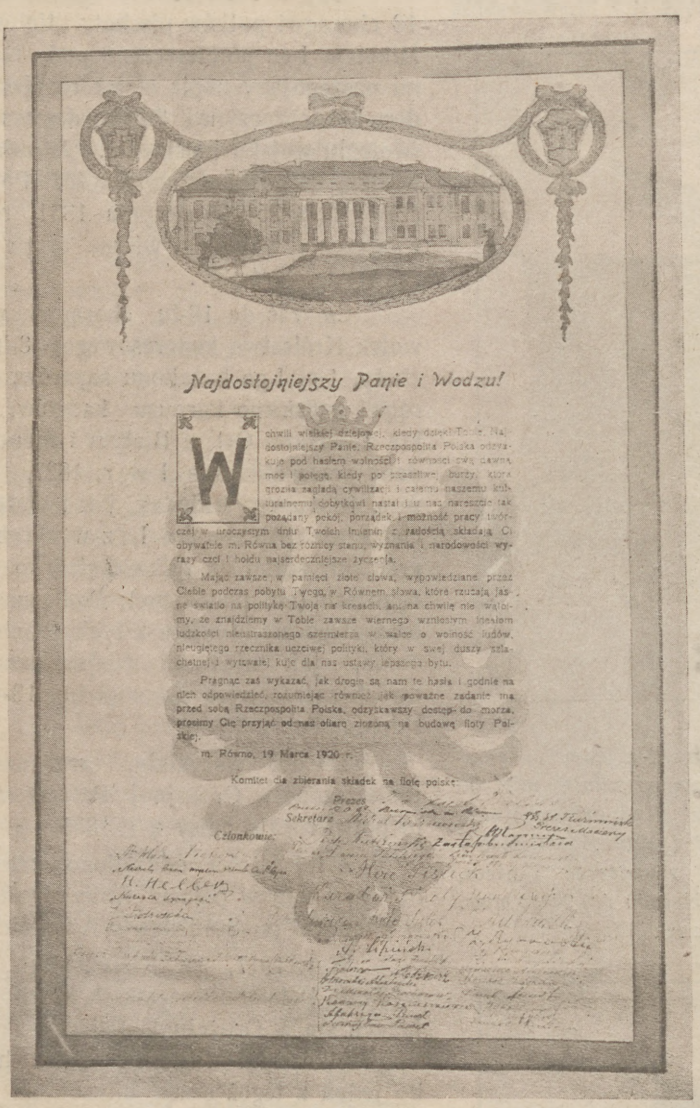

Najdostojniejszy Panie i Wodzu!

W chwili wielkiej dziejowej, kiedy dzięki Tobie, Najdostojniejszy Panie, Rzeczpospolita Polska odzyskuje pod hasłem wolności i równości swą dawną moc i potęgę, kiedy po straszliwej burzy, która groziła zagładą cywilizacji i całemu naszemu kulturalnemu dobytkowi nastał i u nas nareszcie tak pożądany pokój, porządek i możność pracy twórczej w uroczystym dniu Twoich imienin z radością składają Ci obywatele m. Równa bez różnicy stanu, wyznania i narodowości wyrazy czci i hołdu najserdeczniejsze życzenia.

Mając zawsze w pamięci złote słowa, wypowiedziane przez Ciebie podczas pobytu Twego w Równem, słowa, które rzucają jasne światło na politykę Twoją na kresach, ani na chwilę nie wątpimy, że znajdziemy w Tobie zawsze wiernego wzniosłym ideałom ludzkości nieustraszonego szermierza w walce o wolność ludów, nieugiętego rzecznika uczciwej polityki, który w swej duszy szlachetnej i wytrwałej kuje dla nas ustawy lepszego bytu.

Pragnąc zaś wykazać, jak drogie są nam te hasła i godnie na nich odpowiedzieć, rozumiejąc również jak poważne zadanie ma przed sobą Rzeczpospolita Polska, odzyskawszy dostęp do morza, prosimy Cię przyjąć od nas ofiarę złożoną na budowę floty Polskiej.

m. Równo, 19 Marca 1920 r.

Komitet dla zbierania składek na flotę polską.

Prezes

Sekretarz

Członkowie:

Tekst adresu w języku polskim,

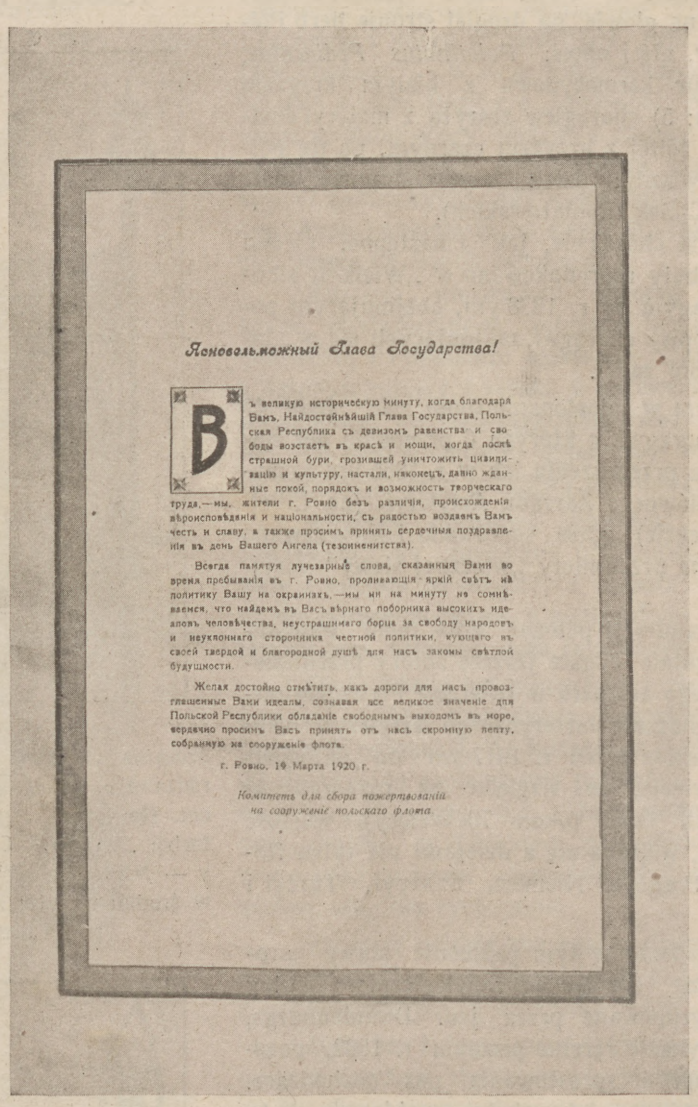

Ясновельможный Глава Государства!

Въ великую историческую минуту, когда благодаря Вамъ, Найдостойнѣйшій Глава Государства, Польская Республика съ девизомъ равенства и свободы возстаетъ въ красѣ и мощи, когда послѣ страшной бури, грозившей уничтожить цивилизацію и культуру, настали, наконецъ, давно жданные покой, порядокъ и возможность творческаго труда,—мы, жители г. Ровно безъ различія, происхожденія, вѣроисповѣданія и національности, съ радостью воздаемъ Вамъ честь и славу, а также просимъ принять сердечныя поздравленія въ день Вашего Ангела (тезоименитства).

Всегда памятуя лучезарные слова, сказанныя Вами во время пребыванія въ г. Ровно, проливающія яркій свѣтъ на политику Вашу на окраинахъ,—мы ни на минуту не сомнѣваемся, что найдемъ въ Васъ вѣрнаго поборника высокихъ идеаловъ человѣчества, неустрашимаго борца за свободу народовъ и неуклоннаго сторонника честной политики, кующаго въ своей твердой и благородной душѣ для насъ законы свѣтлой будущности.

Желая достойно отмѣтить, какъ дороги для насъ провозглашенные Вами идеалы, сознавая все великое значеніе для Польской Республики обладаніе свободнымъ выходомъ въ море, сердечно просимъ Васъ принять отъ насъ скромную лепту, собранную на сооруженіе флота.

г. Ровно, 19 Марта 1920 г.

Комитетъ для сбора пожертвованій на сооруженіе польскаго флота.

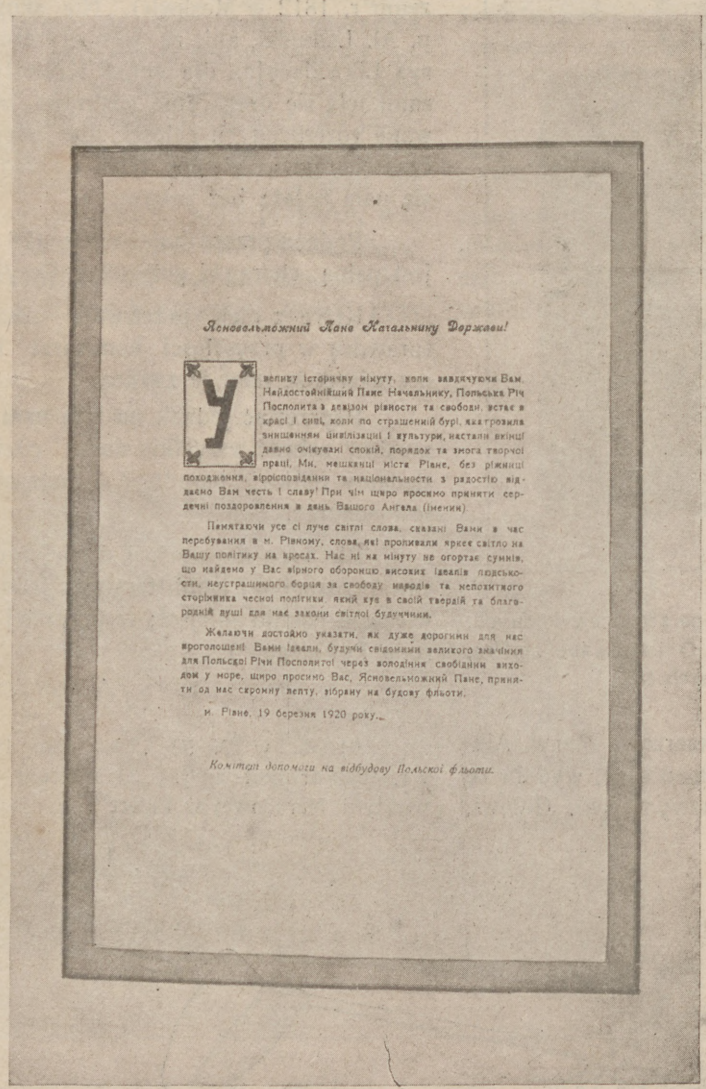

Ясновельможний Пане Начальнику Держави!

У велику історичну мінуту, коли завдячуючи Вам, Найдостойнійший Пане Начальнику, Польська Річ Посполита з девізом рівности та свободи, встає в красі і силі, коли по страшенній бурі, яка грозила знищенням цивілізації і культури, настали вкінці давно очікувані спокій, порядок та змога творчої праці, Ми, мешканці міста Рівне, без ріжниці походження, віроісповідання та національности з радостію віддаємо Вам честь і славу! При чім щиро просимо приняти сердечні поздоровлення в день Вашого Ангела (іменин).

Памятаючи усе сі луче світлі слова, сказані Вами в час перебування в м. Рівному, слова, які проливали яркеє світло на Вашу політику на кресах. Нас ні на мінуту не огортає сумнів, що найдемо у Вас вірного оборонцю високих ідеалів людськости, неустрашимого борця за свободу народів та непохитного сторінника чесної політики, який кує в своїй твердій та благородній душі для нас закони світлої будуччини.

Желаючи достойно указати, як дуже дорогими для нас проголошені Вами ідеали, будучи свідомими великого значіння для Польскої Річи Посполитої через володіння свобідним виходом у море, щиро просимо Вас, Ясновельможний Пане, приняти од нас скромну лепту, зібрану на будову фльоти.

м. Рівне, 19 березня 1920 року.

Комітет допомоги на відбудову Польскої фльоти.

rusińskim

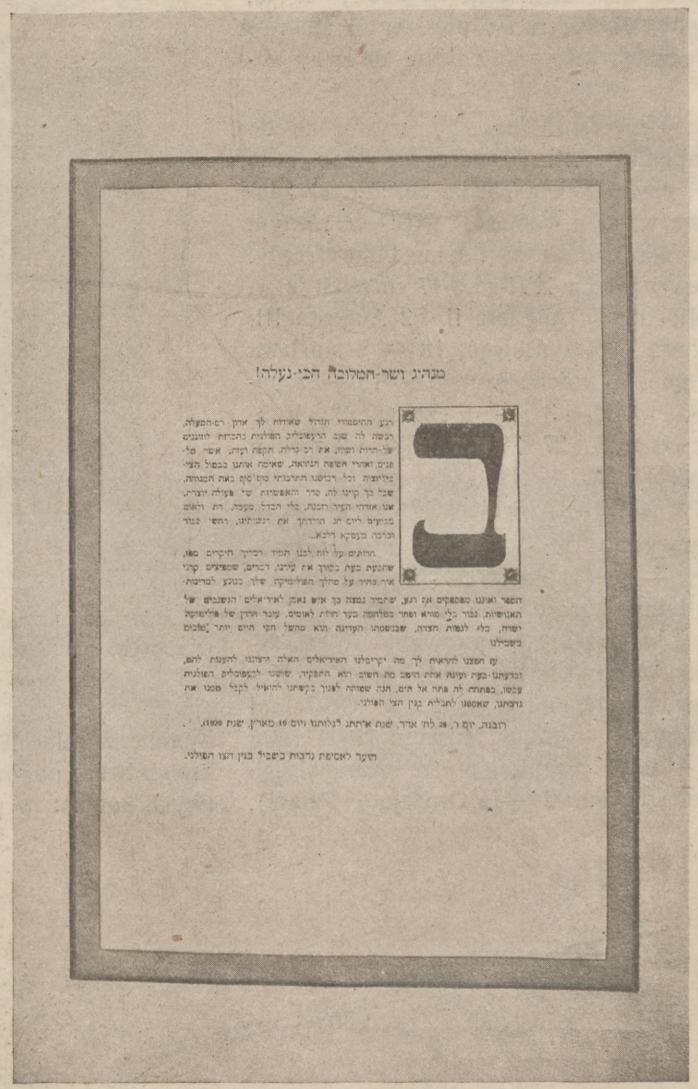

מנהיג ושר-המלוכה הבי-נעלה!

רגע ההיסטורי הגדול שאודות לך אדון רם-המעלה, רכשה לה שוב הרעפובליק הפולנית בהבחת לוזנגים של-חירות ושוון, את רם גדלה, תקפה ועזה, אשר פל-פנים ואחרי הסופה הנוראה, שאימה אותנו בכמול הצי-ביליזציה וכל רכושנו התרבותי סוף סוף באה המנוחה, שבל כך קיינו לה, סדר והאפשרות של פעולה יוצרת, אנו אזרחי העיר רובנה, בלי הבדל מעמד, דת ולאום מבועים ליום הג הולדתך את רגשותינו, רחשי כבוד וברכה מעמקא דלבא...

הרותים על לוח לבנו תמיד דמיך היקרים מפו, שהבעת בעת בקורך את עירנו, דברים, שמפיצים קרני אור בחיר על מהלך הפוליטיקה שלך בנוגע למדינות-הספר ואינו מפספקים אף רגע, שתמיד נמצה בך אוש נאמן לאידיאלים הנשגבים של האנושיות, נגור בלי מורא ופחד במלחמה בעד חרות לאומים, עובד חרדן של פוליטיקה ישרה, בלי לגמות הצדה, שבנשמתו העדינה הוא מחשל חקי חיים יותר טובים בשבילנו

עז הפצנו להראות לך מה יקרימלנו האידיאלים האלה ורצוננו להענות להם, ובדעתנו-בעת ועונה אותה היטב מה חשוב הוא התפקיד, שושנו לבעפובליק הפולנית עכשו, בפתחה לה פתח אל הים, תנה שפוחה לפניך בקשתנו להואיל לקבל ממנו את נדבתנו, שאספנו לתבלית בנין הצי הפולני.

רובנה, יום ו׳, 20 לח׳ אדר, שנת אחתנו לגלותנו (יום 19 מארץ, שנת 1920).

הועד לאסיפת נדבות בשביל בנין הצי הפולני.

i żydowskim.

Z FRONTU WOŁYŃSKIEGO.

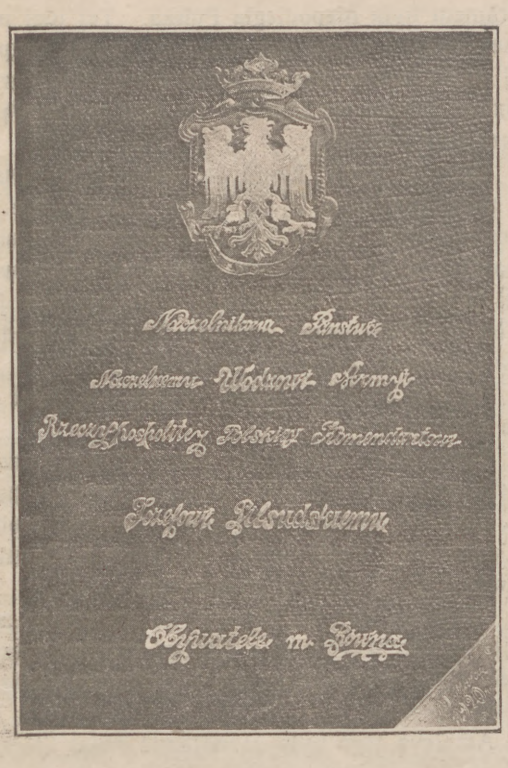

Okładka adresu, ofiarowanego Naczelnikowi Państwa przez mieszkańców m. Równa.

Cmentarz pod Wołczeckiem. Mogiły legionistów poległych w r. 1915—16. Na pierwszym planie krzyż wspólny z napisem: „My krew i życie niesiem w dań, tylko Ojczyzno z grobu wstań". Fot. inż. S. Zborowski.

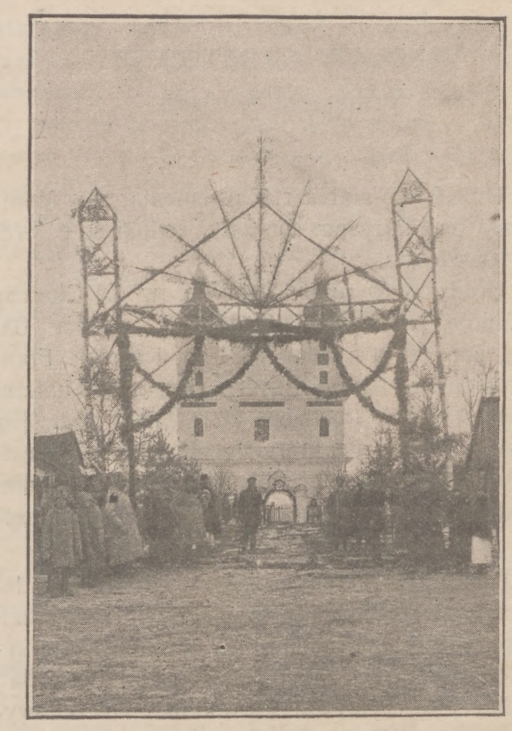

Brama tryumfalna, wystawiona przez mieszkańców miasteczka Dąbrowica na cześć biskupa Dubowskiego i jen. Listowskiego. Fot. P. Kosmala.

Jen. Listowski żegna żołnierzy w chwili wymarszu na front. Fot. inż. Samuel Zborowski.

Jen. Listowski podczas przeglądu 50 p. p. im. Francesco Nullo. Fot. inż. S. Zborowski.

Rotmistrz St. Królikowski na czele szwadronu.

WACŁAW GASZTOWTT.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 23-go marca r. b. na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem spoczęły zwłoki ś. p. Wacława Gasztowta.

Urodzony w roku 1844-ym w La Guerche sur Aubois, we Francyi środkowej, z ojca Gabryela, emigranta z roku 1831-go, i matki Francuzki, z domu Nanine Boyer, Gasztowtt należał do tego pokolenia Polaków, które miało podwójną ojczyznę—Polskę, do której lgnęli sercem na podstawie przekazanej przez ojców tradycyi, i Francyę, która ich przygarnęła na równi ze swymi synami, jako naturalizowanych Francuzów.

Ojciec jego, zajęty pracą zawodową, jako lekarz małomiejski, będący w ciągłych rozjazdach po okolicy, nie mógł zająć się wychowaniem syna. Rzadko kiedy zsiadał ze swojej „dwukołki" i na dłużej zatrzymywał się w domu. Wychowywała go matka i dlatego do 12-go roku życia chłopiec znał tylko język francuski. Po polsku nauczył się dopiero w Paryżu, w szkole na Batignolles. Tam odezwało się w nim odrazu serce polskie. Owiała go atmosfera tej drugiej, dalekiej ojczyzny, o której nauczyciel jego, Jan Rustejko, mówił ze łzami w oczach. Poznał jej koleje, jej straszną niedolę i całą duszą przylgnął do Polski.

W młodzieńczym już wieku stał się obrońcą jej praw na obczyźnie. Francuzów uświadamiał o istocie sprawy polskiej, rodaków, dumających melancholijnie „na paryskim bruku", krzepił nadzieją i budził w nich wiarę w przyszłość.

Wybuch powstania 1863-go roku zastał go w paryskiej Szkole normalnej. Na wieść o zbrojnym ruchu w kraju młody filolog przerywa natychmiast studya i bierze udział w wyprawie morskiej na Bałtyk pułkowników Łapińskiego i Demontowicza. Inicyatorom tej wyprawy chodziło o to, aby przez obecność bandery polskiej na morzu dobić się uznania państwa polskiego ze strony mocarstw, a tem samem uczynić z powstania prawidłową wojnę Polski z Rosyą, co znacznie ułatwiłoby spodziewaną wówczas interwencyę Francyi.

Niestety, wyprawa ta spełzła na niczem, a uczestnicy jej powrócić musieli do Paryża.

Nie zniechęciło to jednak Gasztowtta do pracy. Widząc upadek powstania i zwiększające się nieszczęście Polski, z tem większą miłością synowską stał pod jej podeptaną przez przemoc chorągwią.

Z zapałem oddał się nauczaniu dzieci polskich w szkole na Batignolles, ufny, że z ziarna, które sieje, będzie kiedyś plon dla Ojczyzny pożyteczny.

Tak dożył roku 1870-go. Jako Polak, z ochotą wstąpił do szeregów francuskich, aby walczyć za swoją drugą ojczyznę, za jej wolność i honor.

I znów przyszło rozczarowanie.

Przetrwawszy oblężenie Paryża i komunę, Gasztowtt zrzucił mundur, ukończył przerwane studya i rozpoczął pracę, jako nauczyciel łaciny, języka greckiego i historyi w kolegium Chaptal. To był jego twardy kawałek chleba. Jednocześnie chwile, wolne od zajęć obowiązkowych, poświęcał szkole polskiej, której nie opuścił już do końca życia. Stał się dla niej człowiekiem wprost opatrznościowym i kto wie, czy szkoła ta dotrwałaby aż do dzisiaj, gdyby nie Gasztowtt, gdyby nie jego zabiegi i praca. Był czas, że zaprzeczano jej racyi bytu. Gasztowtt umiał jednak wówczas racyę tę wykazać. I szkoła została, aby w murach swoich obchodzić uroczyście proklamowanie niepodległego państwa polskiego.

Gasztowtt, który tej chwili doczekał, otrzymał sowitą odpłatę za wysiłek całego swoje życia.

Przez pół wieku reprezentował w Paryżu Polskę, która dla obcych była już tylko terminem geograficznym. Przez pół wieku zwalczał obojętność zmateryalizowanej, a potem sprzymierzonej z caratem rosyjskim Francyi, przez pół wieku dobijał się uznania swego narodu za naród—napróżno—i oto nagle ujrzał, jak dawna przyjaźń francusko-polska wstaje z grobu, jak śniedzią czasu pokryte napisy na Łuku Tryumfalnym nabierają blasku, jak imiona wodzów polskich i nazwy miej-

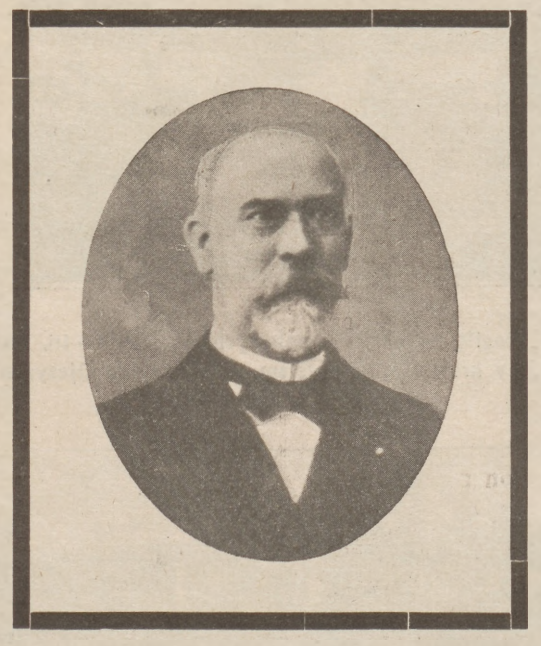

Ś. p. Wacław Gasztowtt.

scowości w Polsce stają się znów czytelne dla Francuzów. Zobaczył biało-czerwone chorągwie polskie, powiewające obok barw państw sprzymierzonych na ulicach Paryża, ujrzał wojsko polskie, przechodzące przez most...Aleksandra III-go, i usłyszał okrzyki: „Vive la Pologne".

Co czuło wówczas jego polskie i jego francuskie serce, o tem powiedzą nam kiedyś jego pamiętniki, które niewątpliwie pisał. To pewna jednak, że ten siwowłosy, długoletni „ambasador" Polski uciemiężonej w Paryżu, najdostojniejszy obok Władysława Mickiewicza jej przedstawiciel, który w rękach swoich trzymał do ostatka wszystkie nici, łączące wychodztwo polskie z Ojczyzną, musiał przeżyć chwile głębokich wzruszeń i potężnej, rozsadzającej piersi radości, która naprawdę była „jak zdrowie".

Radość ta musiała być tem czystsza i tem jaśniejsza, że Gasztowtt nie był politykiem. Nieraz wprawdzie pociąganc go to w tę, to w inną stronę, chciano uczynić z niego człowieka partyi, ale, jakby na przekór, pozostawał on zawsze człowiekiem Ojczyzny.

Nie imały go się etykiety stronnictw, nie przekonywały go programy, bo jedynym jego programem była niepodległa Polska. Tej idei naczelnej służył i często nie rozumiał walki, rozpętanej przez namiętności polityczne i dzielącej wychodztwo polskie we Francyi. na dwa zwalczające się wzajemnie odłamy.

Bywały chwile, kiedy go jeden lub drugi obóz przeciągał bardziej na swoją stronę, ale to „zaanektowanie" Gasztowtta było pozorne. W istocie pozostawał on łącznikiem pomiędzy ugrupowaniami politycznemi, cementem, spajającym w jedno to, co wygórowane ambicye żądnych przodowania jednostek usiłowały rozdzielić.

Tę rolę spełniał przed wojną i spełniał ją także podczas wojny.

Powszechnie szanowany przez swoich i przez obcych, zasłużony istotnie i dobrze sprawie polskiej, posiadał do tego wyjątkowe warunki osobiste: połączenie sentymentu polskiego z litewską wytrwałością i z taktem francuskim.

Stosunek jego do Francyi na szczególną zasługuje uwagę. Kochał ją i dlatego pragnął szczerze nie tylko politycznego ale i duchowego zbliżenia obu narodów.

Ambicyą jego było zaznajomić świat literacki francuski z poezyą polską, otworzyć przed nim cały ten bogaty skarbiec, którego piękno czuł i rozumiał głęboko.

Obdarzony talentem literackim, z łatwością pisał po francusku i przekładał na język francuski arcydzieła polskie.

Z pod jego to pióra wyszły przekłady „Pana Tadeusza" i „Konrada Wallenroda". Nadto przełożył wiele utworów Juliusza Słowackiego, Bohdana Zaleskiego, Felicyana Faleńskiego, Kornela Ujejskiego, Adama Asnyka, Maryi Konopnickiej i in.

Większość tych przekładów spoczywa dotychczas na łamach czasopisma „Bulletin Polonais", które Gasztowtt wydawał i redagował od roku 1875-go, jako organ stowarzyszenia b. uczniów Szkoły polskiej.

Wybór z nich antologii i wydanie jej w książce stanowi jeden z obowiązków naszych wobec pamięci zmarłego. Polacy, mieszkający w Paryżu, powinni się tem szczerze zająć, zwłaszcza, że przekłady te, o ile dokonane są prozą artystyczną (Słowacki) zupełnie wytrzymują krytykę. W wierszu Gasztowtt mniej był szczęśliwy, ale nie posiada dotychczas współzawodnika, któryby to lepiej od niego uczynił, wyjąwszy Władysława Mickiewicza, który jako tłómacz Krasińskiego stoi na odpowiednim poziomie.

Utrzymując stały związek z krajem, Gasztowtt był także współpracownikiem niektórych czasopism polskich. Między innemi i „Tygodnik Illustrowany" drukował jego artykuły.

Niestrudzony w pracy, dożył sędziwego wieku. Umarł dnia 18-go marca, nagle, nie przestając ani na chwilę pełnić swoich obowiązków.

Pogrzeb jego był manifestacyą polską w Paryżu. U trumny jego, spowiniętej w chorągiew narodową, zgromadziła się cała paryska kolonia polska z pełnomocnym ministrem Rzeczypospolitej na czele.

Żegnano go wyrazami głębokiej czci, na którą ten niestrudzony żołnierz sprawy polskiej tak dobrze sobie zasłużył.

Niechże ta świeża mogiła polska, która wyrosła na historycznym cmentarzu w Montmorency na pograniczu dwóch epok, łączy je w pamięci przyszłych pokoleń.

Niech odwiedzi ją każdy Polak, który będzie kiedykolwiek w Paryżu, i pokłoni się prochom jednego z tych, co życiem swojem, w trudzie i męce przebytem, zaświadczyli o niepożytej sile ducha polskiego.

Tyg. Ill.

WASZA A NASZA WOLNOŚĆ.

∞

I odtąd rozpoczyna się walka pod znakiem religii. W obronie prawosławia występuje przeciw Polsce nowa dynastya Romanowów i jak przedtem Polska podburzała bojarów przeciw carom, tak teraz naodwrót ta dynastya rzuca hasło wolności między kozaków i na tej drodze rozsadza Rzplitą. Od tej chwili Polska coraz to słabnie, a w łonie jej coraz to bardziej szerzy się rak: „liberum veto"—zasada, wedle której źródło wolności tkwi w duszy każdego, choćby najniższego szlachcica, zasada zupełnie sprzeczna z moskiewską, wedle której słońcem wolności i równości jest sam jeden car.

Tę ostatnią zasadę umocnił pierwszy petersburski imperator, Piotr Wielki, ale jeszcze bardziej Katarzyna II-ga. Ona, orędowniczka „wolności sumienia", opiekunka dysydentów i Jezuitów, co umiała nazywać się nawet „republikanką [1]) i urządzać komedyę Zgromadzenia narodowego z całym aparatem „kajetów" i chłopskich delegatów, ona umiała wydać z siebie nawet taki okrzyk jakobiński:

„Liberté, âme de toutes choses, sans vous tout est mort" [2]), okrzyk śmiały, na który w Rosyi mogła sobie pozwolić bezkarnie tylko — imperatorowa. Ona, Semiramida Północy, uważała się za źródło swobody, na jej cześć pisali górne pochwały francuscy apostołowie wolności i przodownicy rewolucyi, z wyjątkiem jednego Rousseau'a, który dał głos swój za wolnością konfederatów barskich.

Ale ideały konfederatów już nie wystarczały, złota wolność nie działała, świat się zmieniał, skarbnica przestarzałych haseł stała pusta, wśród wyścigów z Rosyą trzeba było przesiąść na innego rumaka.

I rozpoczęła się na sejmie czteroletnim ciężka praca, praca przetworzenia starej szlacheckiej wolności na nowoczesną, rozszczepienia jej na serc miliony. Nie każdy szlachcic, ale każdy Polak miał mieć odtąd w sercu słońce wolności. Ledwo zaczęła kiełkować ta nowa wolność, a już rozpoczyna się jej bój z petersburską *ideą*. Aby zażegnać brzask nowych polskich haseł, Katarzyna II wywołała wszystkie duchy starej wolności. Przypomniała sobie wszystkie. Pamiętała dobrze, jak w czasie Koliszczyzny przeraziła szlachtę „złota hramota", wzywająca hajdamaków do rznięcia Lachów. Postanowiła powtórzyć ten eksperyment, gdyż, jak pisała do Potiemkina, ogarnęła ją „serdeczna chęć oswobodzenia tamtejszych mieszkańców, spółwyznawców i spółplemienników" [3]). Ale obok swobody kozackiej nie omieszkała z drugiej strony sprzymierzyć się z ową starą szlachecką wolnością i magnatami Ukrainy, którzy, porwani paniką przed nową rzezią, wyciągnęli do niej błagalne dłonie i w akcie konfederacyi *targowickiej* pisali:

„Wielka monarchini!... spraw... aby Polak, sąsiad twój i sprzymierzeniec, winien Ci był wolność swoją".

W tej groźnej chwili, gdy znaleźli się Polacy szukający źródeł swej swobody u stóp caratu, uratował pierwsze zaczyny nowoczesnej polskiej idei ów — jak go zwali Amerykanie — „najczystszy z synów wolności". Stawała się jawą owa przepowiednia Orzechowskiego, gdyż w istocie Polak „w siermiędze" rzucił rękawicę przemożnej imperatorowej i wzywał „swobodnych mieszkańców" na bój z „kupą niewolników". W tych zapasach śmiertelnych z polskim „jakobinem" imperatorowa nie leniła się pobudzać chłopów w rdzennej Polsce do rabowania dworów szlacheckich. Naczelnik zaś, aby złamać ten, jak pisał, „obmierzły machiawelizmu przemysł", wydał nie tylko uniwersał połaniecki, ale w odwet rozrzucał w języku ruskim odezwę do prawosławnego duchowieństwa, wzywając je do zerwania więzów niewoli.

Hasło minęło prawie bez echa, ale hasło pozostało jako testament dla przyszłych pokoleń, hasło, które jeszcze w r. 1800 [1]) tak streścił Kościuszko:

„Polacy będą mieć wojnę *opinii*. Gdzie się przedrą, zaczną ogłaszać wolność, która więcej jest mocną, niż armia stotysięczna. Na kozaków wierność Moskwa nie będzie się spuszczać, gdyż ci wzdychają zawsze do niepodległości. Rząd srogi, którego piekło na nieszczęście ludzkie wymyślić gorszego nie mogło, (zachwieje się szczególnie), jeżeli starać się będziemy dać uczuć nasze prawidła ludowi moskiewskiemu, naszą wolność, równość i zjednoczenie braterskie".

Ale ten lud moskiewski miał inne „prawidła". Już się wdrożył „do cierpliwie i długo noszonej obroży". Z zachwytem patrzał na młodego cara, który wstępował na tron. Bo też ten car Aleksander I to był car-rewolucyonista. Uczeń republikanina szwajcarskiego, Laharpe'a, wstąpił na tron przez rewolucyę, jakby Brutus po trupie Cezara, półświadomy planów zamordowania swego ojca „tyrana". W manifeście do ludu pisał, że chce rządzić „wedlę ducha i serca wielkiej babki swojej", Katarzyny II. Tak jak i ona, nazywał się on w młodości swej republikaninem. Ten Sfinks głosił piękne słowa o wolności, wezwał naród i Europę do walki z „tyranem-uzurpatorem", Napoleonem I, otaczał opieką Żydów, nadał konstytucyę Polakom i wkońcu, podobnie jak jego babka szczerego wolnodumcę Radiszczewa, tak i on wysłał na Sybir ministra Speranskiego, gdy ośmielił się odkryć tajemnicę, t. j. przypomnieć światu, że w Rosyi są tylko dwa stany, t. j. niewolników cara i niewolników szlachty.

Z tem wszystkiem trzeba przyznać, że żadnemu z carów nie udało się tak oczarować Polaków, jak temu „chytremu Grekowi", żadnemu tak rozwiać samorodnych ich marzeń o wolności, jak temu „mistykowi". Jednego głównie pragnął. Chciał wychować w swoim duchu młodzież polską w szkołach, które na rozcież otworzył. Pomylił się. Właśnie z pośród tresowanej przezeń młodzieży wileńskiej wyszła buntownicza pieśń nowych pokoleń. W tej pieśni wieszcz Adam rzucał iskry Wallenrodowe w lochy petersburskich kazamatów, nią pragnął rewolucyonizować „braci-Moskali", w niej skupiał gorycz, która miała „żreć i palić nie was, lecz wasze okowy".

I rozegrał się w sprawie wolności bój duchów, bój dwu największych wieszczów Słowiańszczyzny: Mickiewicza i Puszkina. Obaj, jakby jednym płaszczem okryci, stanęli przed pomnikiem autokraty Piotra Wielkiego — obaj jakby przyjaciele. Jakże jednak odmienne było *w ich duszy* pojęcie o wolności! I Puszkin kochał po swojemu swobodę, ale jednak już od wczesnej swej młodości patrzył na carów, jako na rewolucyonistów. Już w r. 1822 pisał, że Piotr Wielki był Robespierrem, że nie lękał się wolności i że wszystkie stany były równe wobec jego kija... To też kiedy Mickiewicz dostrzegał płynącą od Piotra Wielkiego „kaskadę tyrańskwa", Puszkin w nim widział „krynicę wolności" i przepowiadał, że jeśli jaki nikły człowieczek ośmieli się podnieść pięść przeciw temu „miedzianemu jeźdźcowi" — ten straci chyba zmysły. Ten kontrast miał zaostrzyć się od chwili wstąpienia na tron Mikołaja I-go. Najjaskrawszy autokrata Rosyi, „żandarm" całej Europy, wstępujący na tron po trupach tych dekabrystów, co chcieli podać dłoń polskiej wolności, położył żelazną rękę i na Puszkinie. Puszkin, dawny przyjaciel dekabrystów, twórca „Ody do wolności", szybko przedzierzgnął się w poetę w szynelu, pisał hymny na zdobycie „niesfornej Warszawy", zarzucał Mickiewiczowi bratanie się z demokracyą i motłochem, zwąc go „ugodnikiem bujnoj c z e r n i" (pochlebcą niesfornej *tłuszczy*).

Czyż Puszkin, dawny „Tyrteusz dekabrystów", nie wiedział, że ta „niesforna Warszawa", atakowana przez wojska mikołajowskie, urządziła obchód na cześć jego dawnych przyjaciół—powieszonych, dekabrystów, rozrzucała daleko na wschód przedruki projektu konstytucyi, a u przednich straży zatykała chorągiewki z rosyjskim napisem: „Za waszą i naszą wolność"?

„Za waszą i naszą"! Tak sformułowana dewiza trafiła do serc niektórych Rosyan. W tej dewizie, jak to chwalił Mickiewicz, „wbrew dawnej logice dyplomatycznej" wyraz „waszą" położono przed wyrazem „naszą". I przylgnął do tego hasła Bakunin, Potiebnia i owa garstka oficerów rosyjskich, rozstrzelanych w Modlinie w r. 1862. Może nazbyt wierząc w sukces tego hasła, podnieśliśmy powstanie r. 1863.

Ten rok 1863 był to rok w tej walce dwu idei najbardziej tragiczny. Z jednej strony powstańcy z manifestem uwłaszczenia chłopów, podburzający przeciw carowi nie tylko wieśniaka polskiego, ale i agitujący na Litwie i na Ukrainie, a nawet rozsiewający manifesty aż nad Wołgą — z drugiej strony car Aleksander II, zdejmujący kajdany niewoli nie tylko z rąk mużyka, ale jakby i z rąk chłopa naszego, car, któremu później za to kazano wznieść pomnik, jako wyswobodzicielowi ludu, na Jasnej Górze.

Ten „tyran", tak lekceważony w w. XVI-ym przez Orzechowskiego, pozował wobec Europy na apostoła wolności w Polsce, a sługami jego byli tacy „rewolucyoniści", jak Milutin, wychwalany przez nowoczesnych pisarzów francuskich.

Car-wyswobodziciel tryumfował. Wolność rosyjska przelicytowała wolność polską. Zawiodła powstańcza propaganda na Ukrainie. Mogiła pod Sołowiówką, pokrywająca garstkę młodzieży polskiej, co niosła „złotą hramotę" ludowi ukraińskiemu i za to przezeń została w pień wyrznięta—stoi do dziś, jako pomnik bojów wiekowych wolności polskiej z moskiewską na kresach.

Czy boje skończone? Niel nowa wybiła godzina, znów *nowa* wszczyna się epoka zmagań propagandy z propagandą. Nad Wołgą kotłowało się oddawna, padały bomby, rozerwały na sztuki „cara-oswobodziciela", zamach gonił za zamachem, a Europa z zapartym tchem czekała, co się z tych recept „woli i zemli", nihilizmu, a wreszcie ewangelii hr. Tołstoja urodzi.

I kiedy słońce wolności zaświeci,
Jakiż z powłoki tej owad wyleci:
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?
I urodziła się rzecz nowa: b o l s z e w i z m.

Ale czyż naprawdę nowa? Czyż naprawdę Rosya jest zmieniona? Patrzcie: w Petersburgu stoi ten sam niewzruszony „jeździec miedziany", knutowładny car-rewolucyonista, ten sam następca Iwanów, Piotrów, Mikołajów, ta sama, co dawniej, groza i teror, ten sam, co dawniej, „heroizm niewoli", te same, co dawniej, puszkinowskie „łzy niewoli bezsilne". Dawniej kij Piotra W. szerzył zasadę równości, gnąc karki wszystkich poddanych w proch upokorzenia, dziś to samo: rewolucyjna, opiewana przez lud „dubinuszka".

W. Sobieski.

---

[1]) Bilbasow. I, ust. XXV.
[2]) Brückner, Katharina die Zweite. 476, 435.
[3]) Kalinka. Sejm, II. 150.

[1]) „Czy Polacy mogą się wybić?".

NIEDOLA DAMY WYTWORNEJ.

I.

Na ostatnim planie „Rejtana" Matejki, w grodzieńskiej loży sejmowej siedzi stropiony nieco Repnin w towarzystwie dwu żywo parlujących dam. Pani z lewej strony, skromniejsza i mniej piękna, jest jen. Grabowską, pani z prawej, rozparta wytwornie, w śnieżnych fiokach, bryzowanych manelach i z przepysznym wachlarzem w ręce, to księżna marszałkowa Elżbieta Izabela z Czartoryskich Lubomirska. Ta sama, dla której Olimpijczyk Goethe przedłużył o dni osiem pobyt w Karlsbadzie, a kardynał Archetti urządzał w Bolonii tak wytworne przyjęcia, że gorszono się nawet w rokokowym Watykanie. Z rysów i sylwety przypomina trochę panią de Pompadour, którą chciała istotnie zostać *dans ce pauvre pays*, ale w Polsce nie było, niestety, Ludwika. W małych intrygach zmarnowała wielkie talenty, ale trzeba o niej mówić w samych superlatywach: była najbogatszą, najdumniejszą, wśród wytwornych najpierwszą, wśród sprytnych najchytrzejszą, ponadto najbardziej z życia niezadowoloną, a także najnieszczęśliwszą i do końca samotną. Niekoronowanych królów liczono w wieku XVIII-ym na tuziny, ale królowa niekoronowana była tylko jedna: ona właśnie, *gentildonna de 18-cento*, nadwiślańska Pentesilea, *madame l'étiquette sans peur ni reproche*. Olśniewać Europę chciało każde z sarmackich króliczą, ale jej jednej udało się to w istocie; kosztowało, bo kosztowało krezusową fortunę, ale za to, gdy kto na dworach Europy zapytał o *la princesse maréchale*, wiedziano, że tylko o dwie panie chodzić może: *Beauveau de Luxemburg*, albo *Lubomirska de Pologne*. Trianon nazywał ks. marszałkową przyjaciółką domu, Marya Teresa lubiła bardzo z nią gawędzić, Fryderyk W. uważał ją za wyrocznię etykiety, Marmontel zapewniał, że mówi lepiej po francusku, niż członkowie Akademii, Casanova odbył podróż umyślną, by ją zobaczyć, a Ksawery Branicki, który chyba przed nikim czołem nie uderzył, wyznał raz szczerze: „Tęgość ducha ks. marszałkowej napełnia mnie adoracyą. Patrzę na nią, jak na heroinę". A tylko jeden ks. biskup Paweł Woronicz miał raz z panią wytworną nieco kłopotu. Nie wiedział zgoła o czem mówić, gdy przyszło mu nad trumną 86-letniej matrony wyliczyć jej zasługi dla Ojczyzny...

* * *

Właściwie tylko dzięki Elżbietce został jej brat cioteczny, król Staś — królem Stasiem. Chowali się oboje od młodości razem w Wołczynie u pani Konstancyi i wtedy błękitne dziewczątko, niby owa pastereczka z noweli Marmontela, rozmiłowało się na zabój w rówieśnym kuzynku. *Evénement* zgoła niepotrzebne, *faux pas* oczywisty! Kuzynek bowiem jest „wnukiem ekonoma" i jednym z sześciu owoców mezaliansu p. Konstancyi, a księżniczka najbogatszą w almanachu gotajskim panną, dziedziczką najświetniejszej w Polsce fortuny i pieścidełkiem, na które nie wiedzieć, jak chuchać. Gdy ten dziewczęcy sentyment coraz więcej dawał do myślenia, grążąc panienkę w „plętach i żalach gorzkich", wysłano młodzieńca po raz drugi w świat. Pojechał bez żalu, tembardziej, że nie zdołał jeszcze zdecydować się, czy ją bardzo kocha, czy może mniej. I wtedy właśnie nabrał wszystkich pięknych manier, którym później zawdzięczać będzie koronę. Elżbietka kochała dalej nieobecnego kuzynka, czekając, co z nią zrobią. Z nudów przeczytała, podobnie jak jej rówieśnica, Katarzyna II-ga, wiele przemądrych książek, pilnie przytem słuchając przyjemnych opowiadań matki swej, niewiasty srodze uczonej, ba nawet w Akademii Jagiellońskiej. Lata biegły, kandydata odpowiednio dostojnego nie było. Zjawił się wreszcie równie schorowany, jak obyty w świecie suchotnik, starszy od panny o lat czternaście strażnik w. kor., Stanisław Lubomirski. Maryaż stęsknionej za życiem kobiety (miała już lat 23) miał tylko jedną dobrą stronę: dawał możność wędrówki po lecznicach i sanatoryach całej Europy, obietnicę poznania wielkiego świata, do którego rwała się od dziecka dusza smutnej księżniczki. Podróże i spoglądanie na świat wielkiemi oczyma, to młodość ks. marszałkowej. Nauczyła się sztuki błyszczenia, zgłębiwszy wszystkie tajemnice wytwornych savoir-vivre'ów i ma cel wzniosły przed sobą: chce opowiedzieć nieufnej Europie, że i nad Wisłą są karoce pozłociste i damy wytworne, że i w Polsce palą się rakiety oświeconej lekkomyślności. Sieje naokół worami polskiego złota, grandilokwencyą zjednywa najtwardszych karmazynów i cel osiąga, pierwsza markiza polskiego rokoka, wysłana na pokaz Europie. Rezultaty przywiezie wspaniałe: wcale uprzejmy uśmiech pani de Pompadour, kilka słów delfina obojętnych, ale przyjemnych, życzliwość pani de Lamballe. I wtedy zaprzysięgnie wieczystą wierność jedynemu imperatorowi, którego czuje się poddaną: Ludwikowi XV, i wtedy uzna jedyną racyę stanu, racyę wytwornego życia.

Podróże ks. strażnikowej miały na celu, oprócz kuracyi ks. małżonka, skrócić niecierpliwe chwile oczekiwania na łaskę fortuny, która obiecuje uśmiechnąć się szczodrze. Niech tylko umrze August Sas III. Tron będzie nasz! Królem polskim zostanie albo ojciec księżniczki, ks. wojewoda August, albo jej brat jedyny, ks. Adam. Ojca uwielbia, brat jest od niej mądrzejszy, ale ani w części tak sprytny, a więc będzie uległy. Atoli wola Petersburga zwarzyła kwiaty fortuny, przekreślając bezlitośnie rachuby dumnej pani. Królem został ten właśnie niezdecydowany kuzynek, którego od dziecka kochała. Kuzynek, który po powrocie z zagranicy przechodzi mimo wdzięków młodej mężatki, podobnie jak dawniej lekce sobie ważył uczucia dziewczątka. Kuzynek, który po latach, gdy mu pod złocistą koroną bujne zsiwieją włosy, napisze bardzo nieszczerze w swoich pamiętnikach: „Czuliśmy wzajemnie ku sobie największą sympatyę, ta zmieniła się powoli w ścisłą i tkliwą przyjaźń i przez długie bardzo lata była najsłodszem nawyknieniem mojego serca".

Zdarzyło się, iż tego samego południa, kiedy dzwony kościołów warszawskich obwieszczały dokonaną na Woli elekcyę, stolnik obiadował wespół z ks. strażnikową. Gdy on, tłumiąc wzruszenie, łowił dźwięki tryumfalne, powiedziała: „Przeznaczenie przechyliło szalę na twoją korzyść, a więc powiadam sobie, że tak, jak się stało, stało się dobrze i gratuluję ci z najszczerszego serca". Cóż innego miała powiedzieć? Przecież nie sposób było wyznać, że wczoraj jeszcze ks. ojciec zalecał najsurowiej na radzie familii: „Ile możności musimy królowi temu pokazać, że się bez niego można i należy obchodzić". Jest od niedawnego czasu w modzie dawny pisarz dramatyczny, „Angielczyk pewien, Szekspir imieniem", dzieła jego leżą wszystkie na gotowalni ks. marszałkowej. Czyta młoda pani i znajduje myśli przedziwne i znajduje plany niesłychane. O fortuno, skąpa w uśmiechach, wiedz, że mimo wszystko tron będzie nasz! Ks. strażnikowa już wszystko obmyśliła: albo zostanie polską panią de Pompadour i wygra walną bitwę z uczuciem, jakie król pieści w sercu dla Imperatowej, albo stanie na czele wszystkich ludzi, którzy przeciw Ciołkowi idą, i wygra z nim bój ostateczny. Tron musi być nasz. A jeśli nie będzie naszym, nie będzie także i twoim tronem. I chyba tylko „Angielczyk pewien, Szekspir imieniem", — który właśnie wchodził w modę i był najmilszą lekturą ks. strażnikowej—jeden tylko jest w stanie objąć cały ogrom uczuć gorejących w nienawistnem sercu.

Ks. strażnikowa stała się najbogatszą damą w Polsce. Odziedziczywszy połowę fortuny Sieniawskich, Opalińskich i Denhofów, wzięła miast szesnaście i pięćdziesiąt włości w posiadanie, była panią setki kluczów, pałaców i zamków, lasów, kopalń, młynów, fabryk i gorzelni od Tęczyna po Brzeżany, od Międzyrzecza po Karpaty, władała piaskami Mazowsza i świerkami Beskidu, czarnoziemem Wołynia i latyfundyami Czerwonej Rusi. Miała Wilanów i Krzeszowice, Starokonstantynów i Łańcut, Tenczyn i Rytwiany, Grzymałów i Międzyrzecze, Staresioło i Hrębenów, Satanów i Przemyślany, Narajów i Wiśnicz, Przeworsk, Staszów, Opatów, Brzeżany i Szarogród. Posiadała ks. strażnikowa tyle milionów dukatów, ile wiosen liczyło jej życie. A wszystko razem za wiele było, jak na polską panią de Pompadour i za mało... Mimo szesnastu miast i pięćdziesięciu włości fortuna zwlekała z obietnicą.

„Zwabiła sobie była ks. strażnikowa to prawo: codziennie o którejkolwiek godzinie, a najczęściej wieczorem bywać u mnie" — powiedziano nie bez ironii w królewskich pamiętnikach. Ale prawo niewiele pomogło. Tronem chwiały różne mocne wpływy. Chwiały, jak trzciną. Bywając o „którejkolwiek godzinie", widziała ks. strażnikowa w gabinecie królewskim rzeczy, raniące ambicyę i miłość własną. Widziała damy coraz inne, którym ulegał młody suweren, widziała okoliczności, których był niewolnikiem. I tylko roli dla siebie w tem wszystkiem znaleźć nie umiała. Kuzynek bał się przyjaciółki lat młodych, wietrząc w każdem jej słowie jadowitą intrygę stryjów. Nie została polską panią de Pompadour, lecz hufiec wrogów korony okrzyknął ją swą Pentesileą.

Odtąd nienawiść będzie radością jej życia. Nienawiść słodka, jak koloryt Bacciarellego, i tak w uśmiechach wabnych skryta, jak puder ryżowy skrywa lica elegantki. Zawiść śmiertelna, ale uśmiechnięta. Zawiść potrójna, poczwórna, poszóstna. Do króla i braci za to, że nie chcą dawać posłuchu jej ojcu i stryjowi, do bratowej, która jest piękniejszą i mądrzejszą, a przytem pierwsza posiadła łaski wietrznika, do „Poni" i „Brani", *alias* do Poniatowskiej, matki ks. Józefa, i Branickiej, żony hetmana, przeto, iż z ks. jenerałową żyją w serdeczności. A te cztery nienawiści ks. marszałkowej, to cztery sprężyny w zegarze polityki dworskiej przed pierwszym rozbiorem i cztery kłody, na których najpierw potknie się zapatrzony w gwiazdy suweren.

Potknął się, ale nie wywrócił, grzeczny był i wylany dla kuzynki, ale innych słuchał, zaczem doszło, jak się zdaje, między obojgiem do sceny przykrej, ostatecznej, a ks. marszałkowa w r. 1766 wyjechała nagle do Paryża. Nie po to, aby błyszczeć, lecz, aby się do syta wypłakać. Przeżyje nad Sekwaną kilka szarych miesięcy, zamknie się w odosobnieniu, głucha na powaby szumiącego życia, nazywana „Aspazyą" przez *maman* Geoffrin. Dobra córka furmana i przyjaciółka filozofów z ulicy St. Honoré czuwać będzie nad nią ze szczególną tkliwością i w pełnych wyrzutu słowach napisze królowi do Warszawy: *Votre Majesté se doit quelques* mea culpa *sur son état*.

Tymczasem w ogródku wielkich ambicyi

rozkwitnął skromny, złośliwie skromny kwiatuszek: książę małżonek, cieszący się ponad zasługę wiernością żony, dotąd strażnik wielki koronny, został na sejmie Czaplica takim samym wielkim koronnym — marszałkiem. Marszałkowa wróciła do Warszawy, wioząc z sobą trochę ochoty do życia, tuzin tualet ostatniego stempla, oraz pomysł najnowszej fryzury, o której przepychu będzie w kilka tygodni później mówić cała Warszawa. Koafiura dwustopowej wysokości naśladowała fale wzburzonego morza, na którem płynął cudny okręcik ze złota i korali, a na łańcuchu weneckim spływała w dół złota kotwica. Lecz próżno dociekały damy zawistne, czyli to był emblemat niestracony jeszcze nadziei, czy może raczej znak przybicia do spokojnego portu?...

Księstwo marszałkowie otworzyli dom wspaniały i wytworny, zgnębiona pani zapomniała na chwilę o niedoli życia. Zaopiekował się nią najłaskawiej czas, w którym żyła, dał jej ukojenie wiek XVIII, który dla ludzi smutnych i znudzonych obmyślił wiele kolorowych zabawek, jako to: książeczki mądre i pieski malowane, sztuki piękne i ogrody strzyżone, oraz ową przedziwną *l'art de faire rien d'une manière agréable.*

Nie można przecież odchorowywać każdej nowej metresy królewskiej, trudno się martwić lada bezmyślnym wybrykiem rozpanoszonych braci Ciołkowych i każdym figlem szatańskim posłów Imperatorowej. Przygłuszywszy w sercu krzyki niespełnionych ambicyi, pocieszała się ks. marszałkowa rozkoszami życia wytwornego.

W blaskach miłości złotego szychu przybladła nawet nienawiść. A przeto król Jegomość, „Brańcia" i „Ponia" jawili się nieraz na asamblach u ks. marszałkowej, które były świetniejsze, niż na Zamku, które były najświetniejsze w Polsce. Albowiem już nawet na polskich piaskach schodzić zaczęły pęki słodkiego kwiatu, który koi bóle i zawody życia, kwiatu rokoka.

* * *

Powiedziano w dekalogu życia wytwornego, aby kochać teatr i sztuki piękne, frak z żabotami i wazę marmurową, ogród strzyżony i plafon pałacu, ręką mistrza zdobionego. Powiedziano, aby radości życia szukać w dyszącem barwami wnętrzu i złocić szarość dnia pospolitego. Miała szesnaście miast oraz włości pięćdziesiąt ks. marszałkowa i zaprzęgła wszystkie do pracy. Jako na rozkaz faraonów egipskich mrowie ludu czarnego trudziło się przy budowie piramid, tak teraz na skinienie ks. marszałkowej pracowały sioła, młyny, kopalnie i fabryki, aby spełnić zachcenia księżniczki, która miała tyle milionów dukatów, ile wiosen liczyło jej życie.

Wstawały zamki i pałace. Pierwszą godną siebie rezydencyę zbudowała sobie ks. marszałkowa w Mokotowie, gdzie do niedawna ciernie tylko rosły. Był to letni flamandzki pałacyk z wieżą i kilką sal przemiłych, w którym angielska i francuska sztuka ogrodnicza podały rękę polskiej rozrzutności. Stanął gaj zaczarowany, zdobny w najdzikse krzewy i rośliny. Były menażerye, oranżerye, cieplarnie i gołębniki. Były kaskady, mozajką wykładane, groty z krakowskiego alabastru, szałasy indyjskie i chatki rybacze. A w pośrodku gaju pałacyk z kory drzewnej, wzniesiony na szesnastu pniach olchowych, najdroższemi matami z Anglii wyłożony wewnątrz; kwitnął tam głóg i tarnina z porcelany, oraz cieszyła oko sadzawka w otoku krzewów pomarańczowych, okryta namiotem w arabeski pomalowanym. Na łąkach Mokotowa mieszkali świątobliwi pustelnicy w pasiekach, pasło się bydełko pod strażą prawdziwych pastuszków holenderskich, żyły węże, żórawie i bociany w klatkach i widniał most zwodzony do zamku królewskiego. Wiele rzadkich i najdroższych drobiazgów zgromadzić umiała ks. marszałkowa w ustroniu Mokotowskiem, i tylko jednego nigdzie znaleźć nie mogła: zadowolenia.

Obok cudów pudrowanej natury cuda rokokowej sztuki, zgromadzone we wnętrzach pałaców księżny w Wilanowie i Warszawie. Do dawnych świetności rezydencyi króla Jana dodała ks. marszałkowa nowe; sama Wenus, Gladyator i Apollo, na rozkaz księżny z ołowiu ulani i pozłoceni, stanęli na straży pamiątek wilanowskich. Inne dzieła sztuki mieścił pałac warszawski, który od ojca dostała w posagu. Był tam Tycyan, Correggio i „Miłosierdzie" Carraccia, „dwa mniemane Van Dycki i cztery Rubensy", był Vatteau i Boucher, wazy marmurowe, porcelana japońska, całe włóki dywanów—„całość urządzona z przepychem", jak nas upewnia świadomy rzeczy podróżnik francuski. Gdy w roku 1789 pójdą te skarby na wystawę w Salonie paryskim, przybędzie jeszcze jeden laur w wieńcu sławy ks. marszałkowej. A wkońcu zgromadzi je w dalekim Łańcucie, który będzie jesienną przystanią zmęczonej życiem principessy. Inne przeznaczenie miała rezydencyą w Krzeszowicach. Stanęła tam świątynia zdrowia, szpitale i przytuliska, zbudowano pierwszą w Polsce stacyę klimatyczną, za co uwielbiały fundatorkę Eskulapy. I tylko brakło Trembeckiego i Delille'a, iżby w rym zaklęli dzieła rozrzutnicy. Po latach wielu zastąpi ich przejezdny Niemcewicz, gdy, patrząc z bryczki na rozwalone świetności, zaśpiewa w zachwyceniu:

Trzebaby piórko z skrzydeł motyli
W bławatach tęczy umoczyć,
By, gdzie się sztuka z przyrodzeniem sili,
To wiernie skreślić i w niczem nie zboczyć.

* * *

I gdzież w tem wszystkiem czas znaleźć na uciechy życia domowego, tembardziej, gdy ono nigdy zbytnio nie zajmowało ks. marszałkowej? Ks. marszałek słabował i politykował dalej, córeczki cztery rosły a rosły pod przezorną opieką ks. Piatolego, o ile zajęty interesami księżnej maestro miał czas na pedagogię. Wolałaby jednego syna, miast tych czterech urodziwych księżniczek, z których jedna poślubi potem Ignacego Potockiego, druga hetmana Seweryna Rzewuskiego, trzecia Stanisława Potockiego, czwarta Jana, podróżnika i pisarza. Ale żadna nie pozyska miłości matki.

* * *

...A nagle na ściernisku oschłej galanteryi wyrasta wielki pęd złego czynu, w bukiecie kwiatków porcelanowych rozkwita zielsko żywe, trujące. Lady Makbet nałożyła perukę, Lukrecya Borgia tańczy menuetal... Nienawiść uśmiechnięta, dysząc rozkoszą zemsty, zawiązuje węzeł najchytrzejszej intrygi, jaką kiedykolwiek zapisała historya dworu polskiego. I szkoda, że sprawa działa się w Polsce, bo tylko dlatego Dumas nie napisał o niej powieści, Sardou komedyi i nie rozsławiły aktorów filmy kinematografu. Owem *chef-d'oeuvre* ks. marszałkowej jest afera trucicielska pani d'Ugriumow (1785). Uczynić króla zbrodniarzem, skoro go w inny sposób zwabić z tronu nie można, zbrukać mu dłonie krwią i trucizną. Angielczyk, pewien Szekspir, radził tak oddawna swojej wielbicielce. Awanturnica holenderska, pani d'Ugriumow, która już przedtem próbowała podobnych machinacyi ze stroną przeciwną, będzie tylko podstawioną kukiełką, bo za kotarą skryła się ks. marszałkowa. Ona rozwinie nikły pomysł intrygantki w przepyszną intrygę, nie ustępującą w wykonaniu najświetniejszym aferom kryminalnym. Z całem wykwintnem znawstwem sceny i teatru układa ks. marszałkowa plan spektaklu, dobrawszy sobie do pomocy warchoła Branickiego, hetmanową Ogińską i obu zięciów. Role rozdano aktorom niezawodnym: jest kupiec angielski Taylor, jest zięć ks. marszałkowej Ignacy Potocki i adjutant ks. jenerała. Ofiarą intrygi mają paść zausznicy króla: Ryx i jenerał-adjutant Komarzewski, poczem na osobę Najjaśniejszą padnie upragniony cień—truciciela. Spektakl się zaczął. Na sali czeka prowadząca grę d'Ugriumowa oraz jej ofiary, Ryx i Komarzewski, za drzwiami podsłuchują Taylor, Potocki i adjutant. Ks. marszałkowa czeka niecierpliwie na górze. Rozmowę zaaranżowano tak tajemniczymi dwuznacznikami, iż wynikło z nich niezbicie: Dwór królewski polecił pani d'Ugriumow uśmiercić najgroźniejszego rywala, ks. Adama Czartoryskiego, brata ks. marszałkowej, i podać mu podstępnie truciznę, która kości jego w przeciągu kilku minut w próchno zamienić miała. Akt pierwszy spektaklu powiódł się doskonale, machina piekielna funkcyonowała bez zarzutu. Ryx aresztowany został jako zbrodniarz, jenerał Komarzewski jako współwinny, cała Warszawa podzieliła się na dwie wrogie partye, między pałacem Błękitnym a Łazienkami wszczęła się bitwa ostateczna, decydująca... Życie polityczne całej Rzeczypospolitej wstrząśnięte, jak od uderzenia gromu, w całej Europie ciekawość żywa i wyczekująca, dyskusye, pojedynki, broszury, paszkwile, śledztwo, a wreszcie wielki proces. Ks. jenerał Czartoryski oskarżył Ryxa i Komarzewskiego o zamiar otrucia go, Ryx pozwał księcia i d'Ugriumową o potwarz, Taylora i Potockiego o napad zbrojny. Dalszy ciąg spektaklu pod nieustającą reżyseryą ks. marszałkowej. Półtrzecia miliona złp. wydali Czartoryscy, Branicki, Ogińska, sto tysięcy dukatów sypnęła ambitna reżyserka. Mimo to akt drugi przepadł z kretesem. Intryga wyszła na jaw. Ryxa i Komarzewskiego uwolniono jako niewinnych. Ks. jenerał z Ignacym Potockim skazani zostali na grzywny, d'Ugriumowa na dożywotnie więzienie. Ks. marszałkowa ułatwiła awanturnicy ucieczkę i zrozumiała, że jej rola w Warszawie skończona.

Pani szesnastu miast i pięćdziesięciu włości opuszczała Warszawę na zawsze. Zostawiała pałace i zamki, młyny i fabryki, ogrody strzyżone i antyki, zostawiała trzy córki i świeży grób ukochanego męża, który umarł w roku 1783. Wyjeżdżała po raz drugi do Paryża na nowe, jeszcze wspanialsze i jeszcze samotniejsze życie.

(*Dcn*) *Stanisław Wasylewski.*

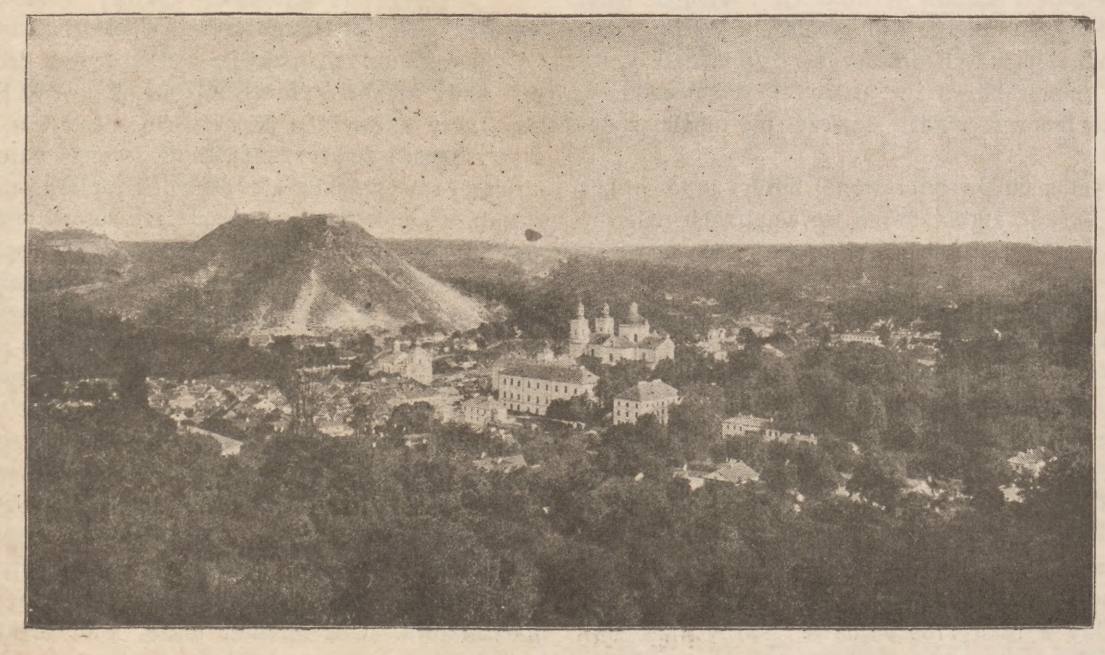

Widok ogólny Krzemieńca.

KRZEMIENIEC DLA POLSKI.

¤¤

Od kilku już miesięcy na liście zdobyczy rewindykacyjnych oręża polskiego figuruje prastary gród wołyński, stolica duchowa polskiego osiedlenia na Rusi południowej, czcigodne miasto licealne Czackiego—Krzemieniec. Z imieniem tem kojarzą się krocie pięknych i niezatartych wspomnień, a duch wnętrzy, zamordowanych przemocą moskiewską murów policealnych, duch uczelni, która wśród mroków porozbiorowych była jednem z najjaśniejszych ognisk i najcenniejszych przybytków polskiej oświaty narodowej, wzywa nas do spełnienia obowiązku, nakazanego przez honor i rozum, przez poczucie godności naszej zbiorowej i przez roztropność.

Praca Czackiego, której monumentalnym wyrazem było liceum krzemienieckie, należy do liczby tych czynów zachowawczo-twórczych, które od wielu dziesiątków lat, bo od katastrofy rozbiorowej, budowały naszą najistotniejszą siłę wewnętrzną i, dawszy nam możność przetrwać zwycięsko noc niewoli, domagają się od nas historycznego rewanżu w postaci nie tylko czci, lecz i nawiązania przerwanego ich wątku.

Rzućmy okiem wstecz, oceńmy choć pobieżnie ich potęgę i ich zasługę.

Komisya Edukacyjna, Ustawa Majowa i Insurekcya kościuszkowska — to jedno wszak nierozerwalne pasmo życia, organicznie połączoną krwią ducha i ciała naszego narodu pulsujące. A potem? Kto siłę naszą odporną, kto nasz fizyczny ruch wyzwoleńczy, kto zwycięstwo ducha polskiego nad gwałtem w ciągu stu lat porozbiorowych pojąć i odczuć jest w stanie bez Wilna i Krzemieńca, bez Wszechnicy Jagiellońskiej i Szkoły Głównej, bez Uniwersytetu Lwowskiego i tajnych uczelni naszych, bez stuletniego pielgrzymstwa myśli polskiej *ad astra*, bez wieszczów i nauczycieli narodu, którzy rwali szmaty ukrytego poza zwałem chmur szarych słońca i kładli miłościwie i roztropnie złotą tę mierzwę na łany polskiej pracy ofiarnej z dnia na dzień i z pokolenia w pokolenie?...

Wilno i Krzemieniec!

Te dwa święte nie tylko dla nas kresowców imiona wystarczą, aby prawdę słów powyższych stwierdzić. Przygniatająca wprost tradycya bezmiaru pracy i zasługi narodowej, od wystygłych murów tych dwóch, zamordowanych przez gwałt i przemoc uczelni naszych ku nam płynąc, odbudowy i wznowienia od nas żąda.

Świetna wszechnica wileńska już została wskrzeszona, prastare gniazdo Jagiellonów opieką Rzeczypospolitej już zostało ogarnięte. Natomiast Krzemieniec — czeka. Rodzinne miasto Juliusza Słowackiego, zielona górska czasza, z której pierwszy czar natchnień królewski Duch jego czerpał, w której Czacki ogrom swej pracy owocnej umieścił i którą Hugo Kołłątaj ostatnimi promieniami swojej twórczości ozłocił, wciąż dotąd losów swoich niepewna.

A przecież to nie tylko „zakład", który czeka na restytucyę!... To nie tylko ruiny zimnych murów, domagające się odbudowy!...

Był to dziwny przybytek to liceum krzemienieckie. Zbudowane na fundamentach praktycznego racyonalizmu przez wytrawnego a wierzącego w swój naród legislatora, stało się gniazdem cichej, pogodnej i radosnej wiedzy, która serce opierała na hamulcach rozumu, która w duszy polskiej usiłowała kłaść fundament pod świątynię pracy i obowiązku.

Czacki, zakładając liceum w roku 1805-ym, odgrodził Krzemieniec od całego świata walk owoczesnych przewrotów. Gdy cała Europa stała w łunach, on przygotowywał materyał dla zmartwychwstania — robił obywateli. „Od kilkunastu lat—pisał do najstarszego syna, Józefa—publiczne i prywatne przygody ciągłą idą koleją. Opatrzność może położy granice nieszczęściom, może je zwiększy. Szanujmy wyrok nieba, zapracujmy, aby sumienie nasze zaświadczyło, że jesteśmy godni mieć pomyślność w udziale... Pamiętaj, abyś ziomkom służył. Apatya niech nie ma w twych oczach cnoty obywatelskiej. Są ludzie, jest taż sama ziemia, która przodków twych żywiła i ciebie żywi. Jest i będzie wiecznie ten sam Bóg, który współludziom przynosi pomoc i nawzajem odbierać ją każe".

Na głębokiej wierze w nieprzerwaną ciągłość wewnętrznych dziejów duszy polskiej kładł Czacki fundamenty krzemienieckie i wśród uroczej ciszy górskiej mieściny budował w sercach młodych wieże strzeliste dla dzwonów przyszłości — w którą także wierzył!

Żył za krótko.

I Krzemieniec żył za krótko dla celu, obejmującego całą powszechność polską... Dla kresów wszakże misyę swoją w znacznej mierza spełnił— wszyscy z niego poszliśmy, z niego wszyscy jesteśmy.

Kto z nas, kresowców, w ten lub inny sposób nie jest związany tradycyą domową, lub bezpośredniemi wrażeniami z tą Alma Mater ziemi naszej? W ciągu lat dwudziestu pięciu mała mieścina, cudownym wiankiem gór otoczona, ogniskowała całe życie umysłowe i towarzyskie Wołynia, Podola i Kijowszczyzny. Młodzież żyła tam nauką pod hasłem: „dla Ojczyzny", starsi atmosferą licealną. Czcigodna uczelnia zadzierzgnęła w ten sposób węzły z całą ludnością kresów, a wpływy jej, obejmując cały kraj, wyciskały niezatartą pieczęć na duszy całych pokoleń.

Gdy zaś nadeszła chwila zgonu, gdy w roku 1831-ym po upadku powstania listopadowego liceum zamknięto, Krzemieniec jeszcze potężniej duszą kresów owładnął.

Stał się świętością...

Urodził się teraz pierwiastek żalu i grozy. Upadek szkoły łączył się w umysłach z katastrofą ogólno-narodową, a liceum krzemienieckie, wyrwane z rzeczywistości realnej, stało się rzeczywistością bodaj czy nie potężniejszą—bo przeszło do uczucia, którem bieg wypadków ustawicznie wstrząsał, bo stało się wszechobecnem, jako umęczony symbol polskiej pracy i ofiar. Pozornie tylko martwy Krzemieniec tkwił w sercach wszystkich... Wędrując myślą do „Polski", umysł nasz zawsze musiał zawadzić o sędziwe mury krzemienieckie... Niejednokrotnie w chwilach w życiu naszem decydujących Krzemieniec w uczuciach naszych podświadomych błyszczał jako sygnał ostrzegawczy, wyrastający z urwistego zbocza Monsalwatu polskiego.

Wpływy Krzemieńca z jednej strony wzmocnione zostały, a z drugiej same wzmacniały i uwypuklały długotrwałą grę wspomnień katastrofy listopadowej i upadku Królestwa Kongresowego. Krzemieniec utrwalił tradycyę narodową na całej przestrzeni swoich oddziaływań kulturalnych i to sprawił, że tradycya ta w domach kresowych nie była czemś martwem i bezwładnem, lecz wchodziła bezpośrednio w życie, pogłębiała jego ton wewnętrzny, stała się mocnem podścieliskiem tej wiary, w której nierozerwalnym sakramentem łączyła się pamięć z nadzieją. Praca duchowa spadku licealnego po Czackim zachowała nas, wielu wbrew ich woli i wiedzy ocaliła, a cały zespół polskiego społeczeństwa kresów ruskich uczyniła takim, jakim go zastała Wielka Przemiana...

Więc tu nie tylko starożytnik, na stare zabytki łasy, renowacyi wygląda i nie tylko pedagog o jeszcze jedną szkołę prosi.

Gdy w roku 1795-ym wszystkie światła w Polsce pogasły, Krzemieniec był jedną z najjaśniejszych pochodni naszych katakumbowych. Gdy po katastrofie listopadowej największy nasz kat, Mikołaj I-szy, wszystkie okna w więzieniu naszem zamurował, Krzemieniec umarł wraz z Polską.

Czyż nie powinien wraz z nią z grobu powstać?...

Wołam gorąco, bo urodziłem się u stóp murów policealnych, bo ogrom jego tradycyi w krwi mózgu i serca mojego noszę, bo jestem żywym świadkiem tych potężnych wpływów, których Krzemieniec już po swojej śmierci na całe kresy południowo-wschodnie, aż do katastrofy bolszewickiej roztaczać nie przestawał.

Słowa moje są wyrazem uczuć i pragnień całej polskiej ludności kresowej i brzmi w nich trwoga niepewności, która całą naszą duszę zbiorową przenika. Nie tylko ci z nas, którzy będą mieli szczęście wrócić do państwowego z gniazdem związku, lecz i ci, którzy za kordonem granic Polski zostaną, przejęci są jednem gorącem pragnieniem: Krzemieniec dla Polski!... W murach policealnych robocze i strażnicze ognie duchowego Kudaku znowu ku chwale i pożytkowi Rzeczypospolitej powinny zabłysnąć.

Edward Paszkowski.

EUGENIUSZ KORWIN-MAŁACZEWSKI:

„Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica".

OPOWIADANIE Z CYKLU „POLSKA EGZOTYKA".

□□

4)

Z całej rozprawy u komisarza skazańcy dobrze zrozumieli jedno słowo: „w raschod". Jeszcze w więzieniu obijało się często o ich uszy to słówko. W żargonie złodziejskim siepaczów czerwonej Rosyi oznaczało to: rozstrzelać niezwłocznie. Byli zresztą przygotowani do wyroku, więc ani przeraził ich, ani zdziwił. A jednak teraz, gdy ostatnia nić nadziei prysła, zrobiło się im tak smutno, tak straszliwie żal młodego życia swego, że—aby nie krzyczeć na głos—musieli ściskać szczęki, aż do szumu w głowie i dzwonienia w uszach, aż do zgrzytu zębów. Na domiar złego zauważyli, że idąc—maluczko się zataczają. Od dwu dni bowiem właściwie nic nie mieli w ustach. Administracya więzienia, rozumując przysłowiem rosyjskiem, że „przed śmiercią człek się nie nadyszy", więźniów, pozostających na „szczocie" czrezwyczajki, morzyła głodem. Lekkie zataczanie się, jakiemu Zwadowie podlegali, wielce ich zawstydzało. Samolubstwo junackie i nieśmiertelna pycha polska bolały nad tem, czy aby nieco menuetowe *pas* osłabionych nóg nie będzie wzięte przez Moskali na karb tchórzostwa przed śmiercią.

Dochodząc do zakrętu alei, gdzie stała ławka owej bladej pani w żałobie, pomyśleli, że mogą jeszcze zobaczyć swoją nieznajomą przyjaciółkę.

Istotnie była ona tam dotąd. Gdy zbliżyli się do niej na kilka kroków, podniosła nieskwapliwie duże i ciemne oczy, zarzęsione otchłaniami smutku. Zeszłymi razy to robiąc, zawsze witała ich uśmiechem, ledwo dostrzegalnym, jak więdnienie kwiatu. Teraz z jej wzroku wyzierał pytający niepokój. Chłopcy zrozumieli wyraz spojrzenia i dali odpowiedź skinieniem głowy, które powiedziało więcej, niż kiedykolwiek wyrażał najtragiczniejszy gest wielkiego aktora. Chcieli w jakiś sposób pożegnać przyjaciółkę a jednocześnie wykazać swe junactwo. Więc obaj razem zasalutowali tak sprawnie i dzielnie, jak gdyby samemu Hallerowi.

A wtedy usta kobiece złożyły się w coś niewypowiedzianie pięknego w swej boleści, czującej cierpienie bliźnie. Nieznajoma nagle podniosła się z ławki i dłonią, przezroczystą jak opłatek, zrobiła nad przechodzącymi znak Krzyża Świętego. Na ten widok w piersi skazanych targnęło się serce, jak dzwon, szarpnięty za sznur ze wszystkiej siły. Znak Krzyża był taki sam, jakim niegdyś pożegnała ich matka.

Tego już było dla nich za wiele. Człowiek mężnego ducha, pogrążony w nieszczęściu, zdzierży wszelką mękę, zniesie wszelkie urągowisko, lecz się załamie, gdy mu w tem nieszczęściu ktoś niespodzianie okaże trochę duszy życzliwej. Załamali się i Zwadowie. Szloch utkwił im w gardle, niby dławiący kęs suchego chleba powstańczej niedoli polskiej. Ledwo połknęli te łzy.

Jan przyszedł do siebie pierwszy i ku zgrozie swojej ujrzał, że Jerzy idzie z zamkniętemi oczyma, jakby łzy nieposłuszne chciał zawrzeć przyciśniętą powieką.—Jeszcze mi się rezbeczy tu na ulicy—pomyślał z irytacyą i ofuknął brata surowo:

— Jurku, opamiętaj się. Nie róbże Hallerowi wstydu.

Jerzy tylko zagryzł wargi, literalnie aż do krwi, i odrzekł:

— Dobrze. Nie ucz mnie. Wiem.

Jednak upomnienie poskutkowało i Jerzy jął się rozglądać, jak gdyby ulice, któremi wracali, widział pierwszy raz.

Jeśliby Zwadowie mogli zdobyć się w owym stanie ducha na odrobinę refleksyi, toby zrobili uderzające spostrzeżenie. Oto w ciągu ledwo co ubiegłych paru godzin życie ich stało się do gruntu inne. Oczy, widzące dotąd świat w sposób zwykły, właściwy każdemu śmiertelnikowi, odbijały teraz ludzi i rzeczy niebywale inaczej, jak gdyby patrzyły przez szkła, które nadają wszystkiemu nieuchwytny ton barwy, przeraźliwej jak cień od rozpostartych skrzydeł sępa, krążącego nad ludzkiem padłem. Reszta zmysłów pozostawała w zmartwiałem ogłuszeniu, jak władze cielesne żołnierza po ciężkiej kontuzyi, kiedy go odgrzebią z ziemi, którą był zasypany. Jeden wzrok błędnie latał naokół, ślizgał się po przedmiotach, zachłystywał wrażeniami, śpieszył zauważyć każdy szczególik, wszelkie źdźbło podnożnej trawki, kształt ząbkowanego skraju liścia, słoneczną plamę, przesianą przez gąstw na ziemię,—wszystko, wszystko. Ten zmysł jakby poczuł, że już wkrótce stanie się zbędnym, więc zaczął siebie w y z y w a ć w obłąkańczem tempie, za całe życie chciał się wynagrodzić przedśmiertnem napatrzeniem się na ludzką marność i wspaniałość natury, co w zwyczajnych warunkach wydaje się tak powszednią. Dziwnie wyglądał świat, łykany tym wzrokiem zachłannym. Murawa i kwiaty, dzieci, bawiące się w piasku alej, i ludzie, przechodzący obok, krzaki, drzewa, domy, jasne niebo, pełne słońca, błękitu i ptactwa rozśmiganego, zdawały się być zasnute jakąś krepą niedostrzegalną, obrzucone cieniami, chodzącymi po najjaśniejszej słoneczności, gdziekolwiek padł tylko wzrok. Tak w i d z ą ludzie w paroksyzmach gorączki tyfusowej. Czasami przez ogłuszone głowy skazanych przewijała się myśl bez związku, jak chybiona rakieta, strzelająca nagle. Wówczas otoczenie, przesłonięte ową niedostrzegalną krepą, rozświecało się ponurą jakąś łuną, niby złowieszczym poblaskiem szkarłatno-fioletowych ogni bengalskich.

Co do myśli Zwadów, to te gmatwały się i strzępiły, jak morskie wodorosty, kiedy burza pędzi je ku brzegom. Również przyrównałbym je (myśli) do kry, płynącej ujściem rozbałwanionej rzeki. Życie Zwadów, jak rzeka, co wpada w ocean Lodowaty, dochodziło już do kresu, do ujścia. Od nieznanych mórz tamtego świata zawiewał w dogasające życie chłód rzeczy wiekuistych. I rzeka żywota ścięła się odeń w martwą zszarpaną krę myśli i wspomnień. Płynęły oto, jedne przez drugie, widząc i czując ten świat na podobieństwo mijanych brzegów, co od chyżego mijania zlewają się w sunące pasmo, uwiane z niewyraźnych obrazów. Pamięć o latach dawnych, słowa niegdyś słyszane, mimowolne zająknienia duszy na widok tego, co oko po drodze chwytało, świdrująca czaszkę myśl o bliskiej godzinie niechybnej zatraty,—wszystko to posupłało się nawzajem i płynęło, płynęło, mijając, jak lodowa kra. Była to jakowaś bolesna biegunka mózgowa, powstająca z myśli nieobłuskanych, wrażeń nieprzetrawionych i wspomnień, biednych jak kwiaty, przejechane kołem na polnem przydrożu.

Skazańców niosły nieswoje jakby nogi. Stopy automatycznie odtrącały z pod siebie wypukłe buły szarego bruku. Ludzie, idący ku śmierci, stopą odtrącali ziemię. Chwilami mieli wrażenie, że w skamieniałej głowie naraz odtykają się im uszy. Wtedy dochodził do nich zmieszany pogwar miasta i milkł nagle, jak nagle odzywał się; zupełnie, niby w turkocącym wagonie kolei, gdy drzwi otworzą się i zaraz zamkną... Braciom zdawało się, że już raz, gdzieś, kiedyś to wszystko przeżywali. Zniedołężniały mózg nie mógł wywikłać się z tej złudy.

Nie wiedzieli jak i kiedy weszli do bramy więziennego ogrodzenia; jego szczyt, najeżony szkłem potrzaskanych butelek, sprawił im ból wprost fizyczny, jak gdyby wzdłuż tych wszystkich zadzierzystych drzazg szklanych powłóczono ich nagiem ciałem. Ujrzeli miejsce, gdzie za kilka godzin stracić ich miano. Przypomniała się mgiełka sina po salwie porannej, podobna do dymu z papierosa. W chwilę potem już w i d z i e l i ją najwyraźniej. Odwrócili wzrok; lecz poza kołem widzenia w stronie zakrwawionego muru zamajaczyło coś straszliwego w realności swojej, jakby tam stała sama śmierć, owa chichocząca śmierć, co poczyna się z uknutej na zimno a zaprawnej rozmyślnem okrucieństwem zemściwej zbrodni człowieka nad człowiekiem. Zwadowie pod sercem uczuli cios, niby krzykiem brutalnej pięści po chamsku zadany. Gdy w ostatnim wysiłku lędźwi dźwigali się po schodach na górę do celi, coś tajało im w jamie ustnej, mdłe, kwaśnawo-słone, jak sopel zwomitowanej żółci. To rychła już śmierć, więzienna, nieżołnierska, ucałowała skazańców w usta całunkiem pokryjomych zaręczyn...

IV.

Po przyjściu do celi usiedli w swoim kącie na asfalcie podłogi, głowy oparli o ścianę i długi czas nic nie mówili. Współwięźniowie nie pytali ich o nic. Jaki wyrok wydała na Zwadów czrezwyczajka, można było wywnioskować i tak. I znów, jak zeszłego wieczora, zapanował w celi nastrój przerażonego wyczekiwania. Zmora musnęła po piersiach cichem nietoperzowem skrzydłem, a histerya w ściśnięte gardła zatapiała drobne kły, niby łaszący się kot, niewymownie obmierzły. Zaczęła się conocna dobrze znana męka.

Jan spostrzegł, że ogólna uwaga jest zwrócona na nich. To go ubodło, jak bolesna ostroga. Wszystką cierpiętliwość żołnierską, jaka w nim jeszcze się ostała, zwarł w sobie i wysprężył nią zgnębionego ducha na wytrwanie

do końca. Gdyby był sam, bez młodszego brata, możeby się z sobą nie uporał. Ale Jerzy był dlań czemś w rodzaju tej brzytwy, której chwyta się tonący. W obliczu śmierci należy się zająć czemkolwiekbądź, byle—nie sobą; *trzeba wyjść poza siebie*, gdyż inaczej nie da się rady temu lękowi potwornemu, co ogarnia wszelkie serce, dopóki bije ono w żywym człowieku. I Jan zajął się bratem. Jerzy potrosze go zatrważał.

— Niewiadomo—myślał Jan—jak *to* się zachowa. Jeszcze rozpłacze się. Młode to a zawsze było rozegzaltowane. Ot, zwyczajnie, jak poeta. A tyle razy gadałem mu: „Rzuć te wierszydła. Co ci po Słowackim, kiedyś legun. Lepiejbyś wkuwał na pamięć przepis szyków piechoty. Jesteś już kapral, bo awansowali cię za waleczność, ile żeś lazł jak głupi, gdzie trzeba i nie trzeba, ale nie potrafisz w zwartym szyku przećwiczyć plutonu. A teraz widzisz: najemy się wstydu obaj". Muszę go przekonać, pouczyć... Bo coś takiego, nie daj Boże, zrobi, że ta ziemia, co nasze ciała okryje, poruszy się ze wstydu za nas, za polskich żołnierzy, co nie potrafili umrzeć, jak się patrzy.

— Jurek, wysłuchaj dobrze, co ci powiem—rzekł, kładąc dłoń na ramieniu brata.— Wiesz, że w życiu myślałem zawsze za siebie i za ciebie; i nigdyś na tem źle nie wyszedł. No, powiedz? Prawda? Jurek, słyszyszże, co mówię?!

— Słyszę, Janku.

— I rozumiesz?

— Rozumiem, Janku.

— To dobrze. A uważaj, ile logiki będzie w tem, co powiem — zażartował umyślnie, zaglądając niby to po łobuzersku, jak za szkolnych czasów, do oczu Jerzego, pełnych ciemnej nicości, jak dwie czarne wypaście po sękach w trumiennej desce. I ciągnął dalej w tonie żartu, sądząc, że to otrzeźwi odrętwiałego na duszy brata:

— Niema sytuacyi, z której nie można byłoby wybrnąć. Tylko cywil, uważasz, stara się ujść z całą skórą, a żołnierz—powinien wyjść z honorem. Skór ludzkich do garbowania Polska ma chyba ze sześć milionów, ale honor—jeden. Teraz wojna, więc dusza Polski jest tam, gdzie Jej żołnierz nadstawia na kule łeb w dziurawej maciejówce. A teraz to — hinterland, Enkaen i wszelki tam inny komitet z paniami i bez pań, co urządzają wenty i różne kwiatki, aby dwaj żołnierze w kompanii mogli ustroić się do trumny w całe gacie. Zatem wyimaginuj sobie, że jesteś Polską. Item—ów jeden jedyny honor dźwigasz na sobie. Dobrze mówię? Co? Ale coś ty taki markotny? No, chłopie, dobra nasza! Raz mać na świat urodziła! Uszy do góry! Pamiętasz, jak przed atakiem mawiał to zawsze nasz kapitan? Byczy był chłop, co? Gdzieś pewno bolszewicy również i jego ze skóry łupią... Więc—uszy do góry! I słuchaj, co ci starszy brat powiada, abyś na tym interesie, co o świcie nas czeka, nie wyszedł na perłowo. Podziękujesz mi, zobaczysz... Co to ja mówiłem?... Aha! Otóż wszystek polski honor my dźwigamy. Patrzy na nas Moskal, więc trza uważać, aby rzeczy tak kruchej nie uronić pod ich but, śmierdzący dziegciem. Bo honor, jak powiada poeta, to zwierciadło rycerza, a ze zwierciadłem trzeba, uważasz, jak ze szkłem —ostrożnie. Jak to tam stoi po łacinie, bo dobrze nie pamiętam, ale słowem—„wszyscy ludzie są śmiertelni, Juliusz Cezar jest człowiek, więc i Juliusza Cezara szlag trafi". Chodzi tylko o to, aby szlag trafił go, jak Cezara, a nie jak cywila. Ergo—wszyscy żołnierze są śmiertelni, ty jesteś żołnierzem, więc sprawa jasna, jak słońce. Nie możemy się bić, bo nie mamy w ręku karabina, więc pozostaje nam umrzeć, a umrzeć godnie. To jest poprostu nasz psi obowiązek! Psi obowiązek, powtarzam. Bo my—czemże jesteśmy? Proch, marność, wobec tej Polski, za którą giniemy. Ty pomyśl, jaki to dla nas zaszczyt, żeśmy walczyli za nią z bronią w ręku. A że taki marny nam koniec wypadł—to trudno. Nie pierwsi my i nie ostatni. Tylu nas leży w ziemi i tylu jeszcze legnie... Tem się pocieszaj, bo niczem innem się nie pocieszysz. Ściśnij zęby, powiedz: „Tobie, Polsko!" a z lekkiem pójdziesz sercem i staniesz pod mur.—Wiem, że ci żal życia, pisywałeś wiersze, marzyłeś o sławie... Dajmy na to, stanie się cud i z tej tarapaty wybrniesz cało. Bardzo pięknie! I cóż dalej? Napiszesz jeden i drugi tom poezyi do księżyca, do posągu Wenery z Milo, do kwitnących bzów, do słowików na jaśminach, do włosów kochanki i do jej cienkich kostek na nogach. Lecz co z tego, pytam? Dużo jest takich panów, co o tem piszą a robią to lepiej od ciebie. Ale za Polskę zginiesz ty, a nie oni. Oni zostaną i dalej będą rymować o księżycu, o pałacach dożów weneckich, o łabędziu i Ledzie. A jak sumienie ich ruszy, to może nawet ładny wierszyk o nas ułożą. Tak to bywa na świecie... A kiedyś, po latach, wstanie z gruzów Wielka Polska i nas, bezimiennych, pomści ogniem i żelazem. Potem, jak przyjdzie jaka rocznica—nasz naród bardzo lubi rocznice—to o nas, poległych w tej wojnie, wspomną ryczałtem i zrobi się im przyjemnie i ciepło na sercu od łezki patryotycznego mazgajstwa. A my, bracie, będziemy leżeć w tej obcej ziemi, równiutko ułożeni, i żadnej już krzywdy nikt nam nie wyrządzi. Skończy się męka. Zapomnimy o świecie, a ludzie o nas zapomną. I w tem zapomnieniu będzie nasza wielkość, wspanialsza od sławy wielkich mężów pióra. A wielkości tej nikt nam nie wydrze, bo zapłacimy za nią krwią serdeczną; a i któż bo, prócz nas, będzie na nią łasy? Ale trzeba rzetelnie na to zapracować. W lufy, do ciebie wycelowane, trza spojrzeć nieulękle. Daj mi słowo, Jurku, że dotrwasz, że sumiennie zarobisz sobie na tę wielkość. Oni są straszni—ci, którzy przyjdą do nas, aby zamordować... Sam wiesz, jacy oni są. Dlatego ci mówię.—Więc daj mi słowo żołnierza żelaznej Brygady, że się nie ugniesz, że obaj pomrzemy inaczej, niż ci, co tu siedzą, zamknięci z nami, a żaden nie wie, za co dostanie kulą w łeb. Dasz słowo? Dobrze? Jurku, braciszku mój kochany?!...

W te słowa Jan mówił do brata i czuł, że i sam znajduje w nich olbrzymie ukojenie, jakby się przed kim spowiadał i kogoś pocieszał zarazem. Miłość do ojczyzny i miłość braterska do ust mu włożyła te właśnie słowa, które były potrzebne. Młodzieniec, chlubiący się zawsze trzeźwością swych poglądów, a dla leguńskiej tężyzny rozmyślnie w sobie hodujący żołdaczość duchowych odruchów, oto przemawiał, jak poeta, nie wiedząc o tem wcale.

A Jerzy słuchał i jaśniał na twarzy, jak lampa, w której rozpala się święty ogień. Brał do duszy każde słowo brata i zamykał je w muszlach myśli, kwitnących, jak perłowa macica, młodzieńczemi barwy i szlachetnie podatnych na wszystko, co wielkie i piękne. Z tych słów urabiały się w nim jakoby perły, nizane na złotą nitkę uczucia. A nić ta snuła się z jego serca, nagle wskrzeszonego, i wracała doń, objąwszy pierścieniem bolesnego ukochania całą daleką ziemię ojczystą i znacząc jej tą miłością żołnierską granice, których nie zamaże przenigdy żaden polityczny traktat, podpisany nieuczciwą ręką możnych meklerów tego świata. Jerzy z tą twarzą jasną, z płomieniami w źrenicach, łyskającymi jak miecze skrzyżowane, rzekł cichym, pozornie obojętnym głosem:

— Ja nie zrobię wstydu—ani Polsce—ani naszej Brygadzie—ani tobie, Janku. Tak mi dopomóż Bóg, że nie zrobię.

Poczem obaj bracia wstali, aby się przechadzać po celi. Była w tem inicyatywa Jana, który wielce troszczył się o to, jak się wydają z bratem ludzkim oczom; czuwał nad zachowaniem się obu, mającem podkreślać, że oni sobie nic, ale to nic najzupełniej z rychłej śmierci nie robią. Teraz to przychodziło im tem łatwiej, że osiągnęli stan ducha, do tego niezbędny: *śmierć przestała dla nich istnieć.*

O tem nieistnieniu śmierci—to nie komunał poetycki, lecz prawda istotna, jak samo życie. Ażeby pogodnie umierać, będąc mordowanym, trzeba być żołnierzem Chrystusa, albo żołnierzem wielkiej ojczyzny. Nad głową skazańca musi jaśnieć promienny Krzyż, lub odwieczne godło jego ziemi. Pierwsi chrześcijanie umierali w ekstazie męczeńskiej, śpiewając pieśni pobożne. Romuald Traugutt uśmiechał się do tłumów pod hakiem moskiewskiej szubienicy, a Toczyski ucałował swój stryk, jak relikwię. Bajką jest, co wiemy o pogodnej śmierci senatorów rzymskich, skazywanych przez cezara. Sumienne studya historyczne mówią, że oblamowani purpurą stoicy chwytali się życia, wyrywając się z rąk nasłanych dla zamordowania centuryonów, jak zarzynane prosięta, co wierzgają i kwiczą wniebogłosy. Samuraj, robiący sobie z wyższego nakazu harakiri, umiera przecie z pobudek honoru, identyfikowanego z pojęciem ojczyzny. Aby więc umrzeć pięknie, *trzeba wyjść poza siebie* i roztopić się w czemś wiekuistem, jak Bóg, i wiecznem, jak ojczyzna.

Zwadowie, wychowani w czasach, gdy religijność była wyśmiewana, a tradycya ojców—z młodych głów wyparta przez europejską filozofię, wykalkulowaną przez Żydów i duchowych ich bastardów, nie słali do Boga modlitwy, coby wysłana wracała, jak cicha gołębica, składająca na zrozpaczonej piersi oliwną gałązkę łagodnej pociechy. Lecz, że byli żołnierzami na ordynansie u niewskrzeszonej Rrzeczypospolitej, oto, na ich pierwszą myśl o Niej, przyszła—Ona, Najjaśniejsza, Wspaniała, Wyśniona... Cierpiące dusze roztopiła w wielkości swojej i natchnęła je zbiorowym duchem wszystkich bezimiennych Trauguttów, Toczyskich i Okrzejów. (DCN)

Audytoryum japońskie w czasie jednego z koncertów Jadwigi Iwanowskiej-Zaleskiej.

PIERWSZA KONCERTANTKA POLSKA NA DALEKIM WSCHODZIE.

□□

Znakomita pianistka, mieszkająca przed wojną w Piotrogrodzie, gdzie wyszła za mąż za znanego batalistę Mazurowskiego, odbyła w ostatnich dwóch latach wyjątkowe tournée artystyczne, z którego świeżo wróciła do stolicy. Kiedy rewolucya bolszewicka wybuchła, pani Iwanowska-Zaleska wyjechała w ostatnim pociągu ambasady duńskiej do Władywostoku. Dzięki stosunkom przyjaźni z panią Motono i jej małżonkiem, b. ambasadorem japońskim w Paryżu, zaproponowano naszej znakomitej interpretatorce Chopina koncerty w Tokio. Pierwszy koncert, na którym był dwór i cały świat dyplomatyczny, powiódł się tak świetnie, że posypały się oferty ze wszystkich miast japońskich. Artystka nasza oferty te przyjęła i zaczęła objeżdżać całą Japonię. Przyszła jej przytem świetna idea, aby koncerty swe poprzedzać krótkiemi konferencyami o muzyce polskiej, o sztuce i o Polsce wogóle. I oto w największych i w najmniejszych miastach japońskich ukazywała się na estradzie wytworna dama polska, która czasami po raz pierwszy zaznajamiając słuchaczów żółtych z nieznanym narodem słowiańskim, zawsze identyfikowanym tu z Rosyanami, zasiadała do fortepianu i czarowała słuchaczy egzotycznych dźwiękami polonezów i mazurków. Znakomita Polka koncertowała w ten sposób w 80 miastach japońskich i zrobiła dla propagandy polskości to, czegoby nie dokazali ani najwybitniejsi mężowie stanu ani żadne księgi lub publikacye. Żywem słowem i żywym dźwiękiem uczyła o polskości najpotężniejszy dziś militarnie naród świata.

Jadwiga Iwanowska-Zaleska.

Przypomina się tutaj działalność niestrudzonej hr. Ledochowskiej w krajach skandynawskich i słynne powiedzenia o Polakach Bismarcka i Balzaca. Pani Iwanowska-Zaleska dotarła nawet do tych miast japońskich, w których nie tylko nie stąpiła noga żadnego wirtuoza ani koncertanta Europejczyka, ale w których wogóle Europejczycy nie bywają nigdy. Energii jej wprost niepożytej i niezwykłemu, olśniewającemu artyzmowi zawdzięczamy to, że o Polsce i polskiej sztuce dowiedzieli się nawet tacy mieszkańcy kraju chryzantemów i gejsz, którzy wogóle Europejczyków nie widują.

Są to ziarnka rzucone na żyzną glebę, które w przyszłości owoc wydadzą.

Dziś już śmielej może Polak jechać do krainy Wschodzącego słońca. Ważne to przedewszystkiem dla polskich wirtuozów, którzy tam drogę mają otwartą.

Zachęcona tymi olbrzymimi sukcesami, ważyła się artystka na jeszcze większe ryzyko. Postanowiła sobie rozszerzyć swoją propagandę na cały Wschód azyatycki. Objechała więc wielkie portowe miasta chińskie, poczem Indye holenderskie, koncertowała na wyspach Borneo, Celebes, Sumatrze, Jawie, w Szanghaju, w Hongkongu, razem w 280 miastach najdalszego Wschodu. Najegzotyczniejsze pisma holenderskie, angielsko - chińskie, japońskie umieszczały o jej występach entuzyastyczne recenzye. Uczucie podziwu i wdzięczności ogarnia, gdy się przegląda tę dziwną prasę z nagłówkami o naszej dzielnej rodaczce i jej podobiznami rozrzuconemi po pismach np. z wysp Malajskich!

Do Europy wróciła przez Holandyę, gdzie się zatrzymała dłużej i gdzie znalazła jak gdyby drugą ojczyznę. Pani Jadwiga Zaleska, przejęta jest jakąś nabożną czcią dla holenderskiej kultury i sztuki. Ciesząc się specyalnem poparciem dworu holenderskiego, koncertowała kilkakrotnie w Hadze i obecnie znów wyjeżdża tam z powrotem na szereg koncertów.

◇ショパンの曲を獨奏する
サレスカ夫人

◇昨日本紙を訪問して……
來る二十三日夜、神田錦町、會館にて、意のショパン二大曲を獨奏する、露國ペトログラード皇立音樂學校教授ヤドのイガザレス夫人は昨十九日本社を來訪せられました。「俚謠四曲はちつとは出來ますが英語は下手です」と露西亞で音樂の學位は十月から翌年の四月迄で、戰爭でもなか〳〵續んです、私は十九日に米國へ出發の豫定ですなどと愛嬌たつぷりに話して行かれました。

Portret Jadwigi Iwanowskiej-Zaleskiej i krótka recenzya o jej koncercie, zamieszczona w jednem z pism japońskich.

*

Dając powyższą notatkę o tyle fortunnej działalności Jadwigi Iwanowskiej - Zaleskiej, godzi się kilka choćby słów dorzucić o sukcesach siostry jej, Zofii Iwanowskiej-Płoszko.

Zofia Iwanowska-Płoszko.

Pani Zofia Iwanowska-Płoszko, znakomita skrzypaczka, uczennica prof. Barcewicza i Thompsona, założycielka i kierowniczka znanej szkoły muzycznej, po dłuższym pobycie przymusowym w Rosyi, wróciła do kraju i objęła kierownictwo swej szkoły.

Pani Iwanowska-Płoszko koncertowała w ostatnich dwóch latach w Szwecyi, w Finlandyi, w Baku i w Konstantynopolu.

W Konstantynopolu jej recital odbył się na dochód tamtejszej kolonii polskiej. W jednym z miesięcy wiosennych wyjeżdża p. Zofia Płoszko na tournée koncertowe do Ameryki, dokąd podpisała kontrakt z jednym z największych managerów koncertowych amerykańskich.

W celu unormowania nakładu „Tygodnika Illustrowanego" prosimy Szanownych Prenumeratorów o łaskawe wniesienie prenumeraty na drugi kwartał.

Z uroczystości imienin jen. Hallera w Toruniu. Fot. St. Brzozowski.

CRÊME DE LUXE udelikatnia cerę zapobiega opierzchaniu

PROSZEK i ELIKSIR DO ZĘBÓW Warsz. Labor. Kosmetyczne W. NOWACKI i S-ka

Warszawa, Służewska 2 Tel. 269-10.

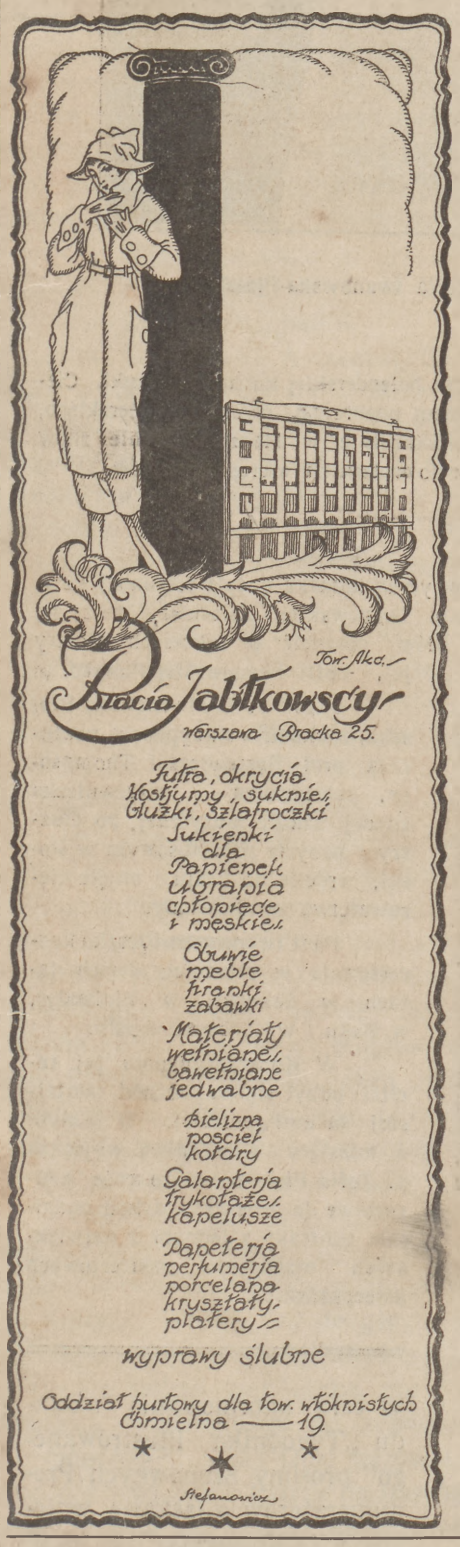

Wszystkie choroby są uleczalne, jeżeli organizm jest odpornym. Odpornym jest on, jeżeli nerwy, mózg i stos pacierzowy posiadają dostateczną ilość pokarmu dla nich niezbędnego (lecytyny). **Nervivit** jest owym środkiem uzdrawiającym nerwy, dającym organizmowi naszemu siłę, odporność, świeżość i rześkość. **Nervivit** usuwa wskutek tego wszelkie objawy, jak: ból głowy, migrenę, bezsenność, bicie serca, lęk i t. d. **Nervivit** zwalcza więc pośrednio wszelkie choroby przez odżywianie systemu nerwowego. **Nervivit** otrzymać można we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

Najprostszy sposób pozbycia się gośćca, reumatyzmu, nerwobólu, postrzału, podagry i bólów przy zapaleniach, hiszpance i t. d., jest przykładanie Rheumonu. Sposób użycia podany w każdej aptece i składzie aptecznym przy nabyciu Rheumonu.

PURGOSAN
PASTYLKI CZYSZCZĄCE

Warsz. Tow. Akc. „Motor"
Marszałkowska 23.

KĄPIELE RZYMSKIE
FAJANSA
PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD KĄPIELOWY
Łaźnie i wanny otwarte codziennie od godz. 9-ej rano do 9-ej w., oprócz niedziel i świąt.
w Środy od 9—5 pp.
Łaźnie dla pań.
Krakowskie-Przedmieście 58.

OFIARY.

Na Komitet plebiscytowy Górno-śląski.

Towarzystwo Promienistych w Pittsburgu (Ameryka)—10,000 Mk.

W celu unormowania nakładu „Tygodnika Illustrowanego" prosimy Szanownych Prenumeratorów o łaskawe wniesienie prenumeraty na drugi kwartał.

Redakcya: ZDZISŁAW DĘBICKI, ARTUR OPPMAN (OR-OT), ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Maryensztad 8.

PROSPEKT

NA ROK 1920

Z dniem 1-ym stycznia 1920-go roku „TYGODNIK ILLUSTROWANY" rozpoczął 61 rok istnienia.

Przez cały czas trwania tej służby narodowej „TYGODNIK ILLUSTROWANY" ogarniał cały naród polski, całą dawną Rzeczpospolitą po najdalsze, dziś zwracane jej krańce—we wszystkich przejawach duchowego, politycznego i społecznego jej życia.

Nie istniały dla nas żadne odrębności dzielnicowe, żadne spory partyjne.

Nie było dla nas niewoli! Patrzyliśmy na Polskę wolną w przeszłości i wolną w przyszłości. To stanowisko, najszczerzej polskie, pozwalało „TYGODNIKOWI ILLUSTROWANEMU" skupiać na łamach swoich twórczość wszystkich najcelniejszych umysłów i serc polskich, dla których to naczelne wierzenie pisma naszego było dogmatem narodowego istnienia.

Wierny swojemu programowi, **„TYGODNIK ILLUSTROWANY"**, tryumfujący wraz z całą Ojczyzną w chwili spełnienia się stuletnich oczekiwań, jest odbiciem wszystkich najrzetelniejszych wysiłków, zmierzających do ugruntowania potęgi i chwały Rzeczypospolitej.

Jak dotychczas, tak i nadal „TYGODNIK ILLUSTROWANY" zgromadzi obok siebie wiernych swoich przyjaciół i zwolenników, nie tylko na ziemiach polskich, ale i rozsianych wszędzie tam, gdzie rozbrzmiewa mowa polska.

„TYGODNIK ILLUSTROWANY" w roku 1920 drukuje cykl artykułów politycznych i społecznych, poruszających najważniejsze i najpilniejsze zadania życia państwowego Polski.

W dziedzinie poezyi i literatury podtrzymuje ten czołowy posterunek, którym się szczycił od półwiecza z górą i który mu nadal zapewnia współpracę wszystkich najwybitniejszych twórców narodowych.

W dziale powieści, przez który przesunęło się u nas tyle arcydzieł, z Sienkiewiczem, Prusem, Weyssenhoffem, Reymontem, Żeromskim na czele, zamieszczamy najnowsze dzieło autora „Sambry i Mozy"

EDWARDA LIGOCKIEGO

„PŁONĄCE REIMS",

w którem czytelnik znajdzie dzieje wiekopomnej karpackiej brygady jen. Hallera.

Ponadto posiadamy w tece utwory **Żeromskiego, Reymonta, Weyssenhoffa** i w in.

Dział ilustracyjny „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO" odznaczał się zawsze nie tylko obfitością, ale i doborem artystycznym. Rysunek, fotografia, szkic, odzwierciedlające aktualność wielkiego momentu dziejowego, zgrywają się z tekstem tak, by dać obraz wszystkiego, co w Polsce i dla Polski się dzieje.

Cukiernia M. A. WĘGIERKIEWICZ dawniej G. G. LARDELLI Poleca znane ze swej dobroci wyroby. Zwraca uwagę Szanownych Konsumentów na DZIAŁ KARMELCZARSTWA. BODUENA № 5.

Pierwsze Polskie BIURO FILATELISTYCZNE Franciszek Wróbel WARSZAWA Marszałkowska 149, tel. 116-74. Export wszędowy

Zakład Wód Mineralnych
W CIECHOCINKU
jest otwarty od dnia 16 maja do dnia 30 września włącznie.

Wody Ciechocińskie jodo-bromo-słone szczególniej są pożyteczne w cierpieniach skrofulicznych, reumatycznych i artretycznych, chorobach kobiecych i nerwowych, przewlekłych zapalenia kości, okostnej, i stawów, wadliwej lub zwolnionej przemianie materji, otyłości, chronicznych chorobach skórnych, przewlekłych katarach górnego odcinka dróg oddechowych, niektórych cierpieniach żołądkowo-kiszkowych, chorobie angielskiej i wielu innych.
Zakład posiada 11 źródeł z rozmaitą koncentracją solanki od 6¾% ⅓% (artezyjskie № 8 do picia, zawierające 1,28 jednostek emanacyi radioaktywnej).
W Ciechocinku można brać kąpiele: Solankowe, borowinowe, kwasowęglowe, elektryczne, świetlne, łaźnie, zabiegi hydropatyczne i inhalacje.—

Popierajmy krajowy przemysł kobiecy, bo rąk po pracę wyciągnię tych wiele!
ZWIĄZEK PRACY POLSKICH KOBIET
W KRAKOWIE, ul. BRACKA 8. — POLECA:
SZWALNIĘ bielizny damskiej, męskiej i dziecinnej. Wyprawy ślubne od najskromn. do najwykwint. z własnego i dostar. mater
HAFCIARNIĘ do wszelkiego rodz ju robót ręcznych. Na składzie gotowe i zaczęte poduszki, makaty, torebki, serwetki, i ścieżki.
SZATY LITURGICZNE hafty kościelne, chorągwie i sztandary. Odnawianie starych szat kościelnych.
Własny zakład rysowniczy dostarcza wzorów na żądanie.

Ukazał się w handlu księgarskim Nr. I — II
PRZEGLĄDU DYPLOMATYCZNEGO
zawierający m. in.:
prof. *Wł. Konopczyński*: Traktaty międzynarodowe dawnej Rzeczypospolitej.
prof. *M. Handelsmann*: W. Ks. Poznańskie w tajnych tudzież doniesieniach dla Paskiewicza
Sprawozdanie z międzynarodowej konferencji pracy w Waszyngtonie (oprac. *M. Jastrzębowski*) Cena Mk. 12.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

NAKŁADEM
„TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO"
ukazało się wytworne album
Józefa Rapackiego:
P. N.
„PRUSAK W POLSCE"
(PRO MEMORIA),
SKŁADAJĄCE SIĘ Z 20 AUTOLITOGRAFIJ
a poświęcone wspomnieniom polskim z czasów okupacyi niemieckiej.

Prenumeratorzy „Tygodnika Illustrowanego" otrzymać mogą album Rapackiego **po wyjątkowo nizkiej cenie,** marek 25, z przesyłką pocztową marek 29. Cena Albumu w sprzedaży księgarskiej marek 45.

Agentury „Tygodnika Illustrowanego": w Lublinie Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Krak.-Przedmieście, w Łodzi: Księgarnie Gebethnera i Wolffa, Piotrkowska 87, oraz Biuro „Promień", Piotrkowska 81, w Krakowie: Księgarnia Gebethnera i Sp., Rynek 23, we Lwowie: E. Sokołowska, Jagiellońska l. 7. W Poznaniu: Księg. Gebethnera i Wolffa Rycerska 36. Księgarnia Polska W. Templowicz. M. Niemierkiewicz, Plac Wolności 3. W Warszawie: kantor redakcyi „Tygod. Illustrowanego", Zgoda 12.
Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą
Główna agentura na Amerykę: The Polish Book Importing Co Inc. New-York, 83 Second Avenue.
Agencya ogłoszeń: Tow. Akc. „Reklama Polska", Warszawa, Jasna 10 tel.229-42, 229-43, 229-44. W Poznaniu filja Tow. Akc. „Reklama Polska" ul. Marcinkowskiego 6.

Redakcya: ZDZISŁAW DĘBICKI, ARTUR OPPMAN, ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Maryensztad 8.